

23 24 25 26 27 28 29



To nie
Prima
Aprilis!

Ona była mężczyzną,

STR.11



P.L. ISSN 0137-1106 Nr 100000 30231

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 6 (852)

23 marca 1986

Cena 15 zł

**Jak książkę Bedford
udawał kureę**

STR.4-5

Rewelacyjne wspomnienia
dowódcy „Commanda”

str.6-7



**Od Cassino
do Bolonii**

**Opera
za**



STR. 9

**Duch
z Wembley**

STR.4-5

Zdrowych Świąt życzy „Kamena”

Dla takich...

„Partia jako siła awangardowa ma w swych szeregach wielu ludzi pełniących kierownicze funkcje. Każdy z nich musi pamiętać, iż działa z mandatu partii, jest jej reprezentantem.

Bywa z tym różnie. Natrafiamy niekiedy na fakty świadczące, że niektórzy tracili ideową busolę, nie wyciągnęli wniosków z doświadczeń ostatecznych lat. Dla takich normalizacja oznacza powrót do starych, skompromitowanych metod”.

Z przemówienia I sekretarza KC PZPR Wojciecha Jaruzelskiego wygłoszonego na zakończenie obrad XXV Plenum KC

Znów się zamykasz w gabinecie, telefon, biurko, czarna kawa, i wszystkim trujesz: „Wy nie wiecie, że tu roboty taki nawał!”

Wertować muszę dokumenty, bilanse, plany... — cedzisz słowa, a wyraz twarzy masz nadęty, jakby ktoś ciebie napompował.

Aż dziw, że to jak balon ciało pod sufit nagle się nie wzniesie; tyle balonów uleciało, lecz ty, jak trzcina, ciągle gniesz się.

Układy umiesz zmieniać w porę, wycujesz wiatrów lekkie drgnienia, a swych doświadczeń pełen worek pilnujesz ciągle bez wytchnienia.

„Uparty człowiek” — szepeczą z boku ci, co przywykli do oklasków. Chętnie by wzniesli cię na cokół, aby korzystać z twego blasku.

Jakże są oni uniżeni! Gotowi z butów kurz zlizywać, lecz kurzu nie ma, bo od ziemi chroni cię zwykle limuzyna.

„Świetlaną przyszłość — głos twój wzłata — wysiłkiem wspólnym, wazycy razem... Ruszymy z posad bryłę świata... Dom zbudujemy naszych marzeń...”

Ruszymy bryłę świata z posad? Zaczniemy od posady jednej, bo w kraju już minęła hossa na dygnitarskie gesty wredne.

A jeśli ktoś próbuje dalej pouczać z papierowej wieży, omijać robotnicze hale, by z ludzką troską się nie zderzyć,

przypomnieć mu tę prawdę trzeba, że każde drzewo bez korzeni nie tylko nie dosięgnie nieba, lecz nawet się nie zazieleni.

No, a pochlebcy? Zawsze byli, robactwa tego nikt nie zgniecie. Opinię zmieniają już w tej chwili, gdy cię zabraknie w gabinecie...

z notatnika

12 III. Jak ten czas leci! Już trzydziesta rocznica śmierci Bolesława Bieruta, działacza polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, pierwszego prezydenta Polski Ludowej.

Myślami wracam do tego dnia, kiedy dowiedziałem się w godzinach pobudliwych o tym zgonie. Nie wiem nawet, czy rano zakomunikowało o tym radio, w każdym bądź razie mnie znajomy poinformował przez telefon. Przejrzałem bardzo tę śmierć, nie ma co ukrywać. Lublin wiele zawdzięcza osobie Bieruta, który od lat dziesięciu tak związany był z naszym miastem! O tych właśnie związkach napisał w dzisiejszym „Sztandarze Ludu” interesujący tekst Józef Kisielewicz, Serdeczny, niesztampowy, a przy artykułach okolicznościowych tak łatwo można wpaść w banalną Sądę, że postać Bolesława Bieruta ciągle jeszcze czeka, mimo książek, które już powstały, na wnikliwą, wszechstronną ocenę historyków, zwłaszcza że przyszło mu rządzić Polską w niezwykle skomplikowanych czasach...

16 III. O podwyżkach cen artykułów żywnościowych i alkoholu doniesiono w sobotnim dzienniku telewizyjnym, że pewne informacje na ten temat „przebiekły” dzień-dwa dni wcześniej, czego trudno było uniknąć. Faktem jest, że w piątek ludzie masowo wykupywali cukier i wódkę. W sobotę trudno się było docisnąć do wnętrza sklepu spożywczego w pawilonach na LSM-ie i kupić zwykły bochenek chleba. Być może, spodziewano się, że cukier zdrożeje nie o 10 zł, jak się stało, ale o złotych 60, jak doszły plotki. W gruncie rzeczy dla wykania tych kilkudziesięciu złotych nie opłacało się marznąć w kolejkach.

Podwyżki pensji przyjmujemy z zadowoleniem, nikt jednak nie doczy się, co jest zrozumiałe, z podwyżek cen towarów czy usług. Niezłoty, życie jest brutalne, a praw ekonomicznych nie da się pominąć, o czym nas uczy chociażby własne doświadczenia i to nie tylko z lat 1980—1981.

Red. Adam Bronikowski zaprosił do studia TV kilku wiceministrów, rozdzwoniły się telefony z całej Polski. Pytania — odpowiedzi, pytania — odpowiedzi, jedne mniej, drugie bardziej przekonywujące. Z uwagi na wyświetlanie kolejnego odcinka „Klejnotu w koronie” nie wysłuchałem w całości drugiej tury odpowiedzi, nie wiem więc, czy któryś z wiceministrów wspominał o istniejącym stale deficycie budżetowym naszego państwa. „Z pustego i Salomon nie naleje” — zwykły mówił Władysław Gomułka. Truizem, że produkcja biletów Narodowego Banku Polskiego nie może wyprzedzać produkcji dóbr powszechnego użytku... Przez lata żyliśmy na kredyt, lata tłuste przemieniły się w chude, rzecz jednak w tym, że wielu spośród nas, przeciętnych zjadaczy chleba, nie miało pojęcia o tym, jak zaciśka się nam wokół szyi kredytowa pętla. Plakaty: „By Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej” przemawiały do wyobraźni, chociaż rzeczywistość

skrzeczala coraz bardziej i gospodarcze trzęsienie ziemi pod koniec dekady lat siedemdziesiątych, które bezskutecznie próbowano ratować „manewrem”, rychło doprowadziło w 1980 r. do trzęsienia politycznego, skutkiem czego nastąpił m.in. kryzys wszytkiego, z zaufaniem włącznie.

Zaufanie traci się szybko, a odzyskuje bardzo powoli. „Podstawowa bariera, jaka jest do przełamania — mówiła na XII Plenum Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w dniu 20 lutego br. znakomita dziennikarka Anna Pawłowska — to utrzymujący się nadal w znacznej części społeczeństwa brak wiary w to, że człowiek, grupa ludzi, środowisko może mieć wpływ rzeczywisty na kształt współczesności i przyszłości oraz w to, że podejmowane pod auspicjami partii i władzy zamierzenia są możliwe do zrealizowania. [...] Nawiasem mówiąc, jest to dokładna odwrotność stereotypu, który pielęgnujemy o sobie samych. Paskudny paradoks. [...] Hasło, wysunięte przez Wojciecha Jaruzelskiego, by to, co konieczne, uczynić możliwym, wychodził ofensywnie przeciwko tym nastrojom niemożności. [...] Co bardziej przezorny — także spośród nas, dziennikarzy — ostrzegali trzy-cztery lata temu: nie wolno przyzwyczaić się do kryzysu. Adaptacyjna zdolność natury ludzkiej, niestety, zwyciężyła. I ją właśnie trzeba rozzerwać, przezwytyczyć. Ukazując wyraźnie, choć taktownie — że takie przyzwyczajenie działa degradująco na człowieka i na społeczeństwo. Wprawdzie, gdyby poważnie traktować dokonujący się u nas podobno renesans religijności, zasada „kogo Pan nie ukochał — temu krzyże zsyła”, powinna tu być tarczą ochronną, ale widocznie i ten renesans nie jest dostatecznie głęboki.

Mówiąc zaś poważnie — z tego, co powyżej, nie wyłączałam bynajmniej wniosku o potrzebie propagandy ofensywnej, wyciszonej, obronnej. Wręcz przeciwnie — jestem przekonana, że istniejący stan świadomości społecznej trzeba atakować ofensywnie, ostro. Ale, znając go, trzeba tę ofensywę prowadzić poważnie i, co najważniejsze, bez cienia nawet demagogii. Triumfalizm, który widocznie nasza propaganda kocha miłością niezłomną, podnosi na duchu tylko tych, którzy go uprawiają. Innych — co najwyżej denerwuje, jeśli nie śmiejeszy. [...] Jeden tylko przykład. Gdyby wszystkie stworzone lub ustawowo odmiennione instytucje demokracji socjalistycznej od samorządu mieszkańców po rady narodowe — sięgnęły po pełnię uprawnień i wywiązywały się w pełni ze swych statutowych obowiązków, żylibyśmy dziś naprawdę w innym, sprawiedliwszym, życzliwszym, godniejszym kraju. Tymczasem badania przeprowadzone w ub. r. przez Radę Państwa wykazały, że rady narodowe wykorzystują średnio 30 proc. swoich uprawnień...”

Charakterystyczne, że podczas odbytego przed kilkoma dniami spotkania lubelskiego środowiska dziennikarskiego z sekretariatem KW PZPR mówio-

no i o tych problemach. Wspólne jest dążenie — i kierownictwa partyjnego naszego regionu, bo nie myślę, że tylko samego Lublina, jak i środowiska dziennikarskiego, aby ta bariera niemożności, której poświęciła tyle uwagi red. Anna Pawłowska, została jak najszybciej przełamana. Jak to uczynić — to problem zasadniczy. Myślę, że w trakcie kampanii przedjazdowej uda się to uczynić.

A X Zjazd naszej partii rozpoczął się, jak postanowiono na XXV Plenum KC PZPR, 29 czerwca. Z przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego, wygłoszonego na zakończenie obrad, wyciągam takie słowa: „Dbajmy, by żaden wartościowy zasługujący na awans partyjny nie uszedł naszej uwadze. Jeśli zaś dojrzeje on do decyzji wstąpienia w partyjne szeregi, to lepiej, by stało się to po tym, jak zostanie mistrzem czy dyrektorem, niż aby uważano, że awansował tylko dlatego, że jest członkiem PZPR”.

Przypomina się głośny kiedyś artykuł M. F. Rakowskiego: „Fachowiec, ale bezpartyjny” (chyba się nie mylę), opublikowany na łamach „Polityki”. Droga bezpartyjnych fachowców do partii jest zawsze otwarta, ale przecież nie legitymacja PZPR powinna otwierać drogę do awansu!

17 III. Tygodnik „Wprost” drukuje (nr 11) rozmowę z rektorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, prof. Jackiem Fisiakiem.

O swoim stanowisku prof. Fisiak mówi tak:

„Jako administratorzy wszyscy jesteśmy dyletantami. Takie stanowisko powinien piastować człowiek, który potrafi zarządzać dużą jednostką. Do tego nie wystarczy pomazanie głosami wyborców czy dekretem władzy. Niezbędna jest konkretna wiedza i doświadczenie administracyjne. W Stanach Zjednoczonych istnieje na przykład funkcja niemal zawodowego rektora, który jest powoływany na to stanowisko przez radę regentów, gubernatora czy odpowiednią komisję. Rektorem uniwersytetu florydzkiego jest na przykład w tej chwili adwokat nie mający nawet stopnia doktora. Dwight Eisenhower był w latach 1948—53 rektorem Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, po czym został prezydentem USA. Bardzo często też profesor, który jest rektorem, zaprzestaje w ogóle swojej działalności naukowej. W Anglii traci się nawet tytuł profesorski, jeśli się zostaje rektorem. W sumie doświadczenie uczy, że jest to funkcja dla administratora i polityka w jednej osobie. Naukowcy bardzo rzadko się w tej roli sprawdzają”.

A oto opinia prof. Fisiaka na temat adiunktów. Dedykuję ją (od siebie)... no, mniejsza z tym, komu:

„Chciałbym wprowadzić zwyczaj dokonywania swolstych przeglądów ludzi zajmujących stanowiska adiunktów, aby móc przyjrzeć się ich postępowi naukowemu. Ustawa narzuca w tej mierze pewne rygory i ci, którzy ich nie spełniają, będą musieli odejść z uczelni. Nikt mnie nie przekona, że ktoś, kto jest 20 lat adiunktem, jest dobrym pracownikiem naukowym. My absolutnie nie chcemy dokonywać jakiegoś bezwzględniego koszenia ludzi. Przepisy ustawy muszą być jednak przestrzegane, jeżeli nie chcemy demoralizować środowiska akademickiego. Poza tym, co być

może nawet ważniejsze, ludzie tacy blokują miejsca, przez co nie można przyjmować nowych stażystów. Proszę sobie wyobrazić, że na około 1700 pracowników naukowych przypada w tej chwili 40 stażystów. Przecież dalsze tolerowanie takiej sytuacji oznacza zgodę na przekreślenie jakiegokolwiek przyszłości uczelni. Tylko systematyczny dopływ świeżej krwi, młodych umysłów, może gwarantować normalny rozwój UAM. Dlatego w tej chwili zamierzamy uważnie przyrzeć się tym wszystkim adiunktom, którzy „piastują” to stanowisko od co najmniej dziesięciu lat. A po zorientowaniu się w ich naukowych postępkach, niejednemu z nich zaproponujemy zmianę pracy. Dzięki temu, na zwolnione w ten sposób miejsca, będziemy mogli w końcu przyjąć wielu zdolnych młodych ludzi na staże asystenckie. Równocześnie zmieniamy dotychczasowy system ich rekrutacji, tak aby rzeczą dominującą w nim nie były wymagania formalne — na przykład nie tylko wysoka średnia ze studiów — ale faktyczna wiedza i zdolności. Przy czym chciałbym zauważyć, że z myślą o tych adiunktach, którzy w najbliższym czasie będą musieli od nas odejść, prowadzimy rozmowy m. in. z władzami okręgu szkolnego, aby zostali oni przyjęci do zawodu nauczycielskiego. Osobiście — dodał prof. Fisiak — jestem zwolennikiem poglądu, że w nauce nie ma demokracji i że każdy zrucony na jej fale powinien sam sobie dawać radę. Nianką uniwersytet być nie może”.

Prof. Jacek Fisiak jest anglistą, wykładał na kilkudziesięciu najbardziej znanych uniwersytetach w Europie i USA, w ojczystym kraju języka angielskiego używa się jego książki jako podręcznika. Ponadto uniwersytet w Jyväskylä nadał mu stopień doktora honoris causa, a fińskie władze Order Lwa Finlandii, natomiast Anglicy odznaczyli go Krzyżem Oficerskim Orderu Imperium Brytyjskiego... (Tak na marginesie: z wielkiego imperium chyba tylko krzyż pozostał...)

Przypominam te dane, bo świadczą one o tym, że i Zachód zna prof. Fisiaka i profesor zna Zachód. Nie jest więc to „zamach” na „święte prawa uniwersyteckie” ze strony... „reżimu”. Kiedy dziś na Lubelszczyźnie tyłu pedagogów ze szkół średnich wybiera się na emeryturę, warto bliżej wejrzeć w doświadczenia poznańskie, oczywiście na razie jest to tylko ich zapowiedź. Skoro jednak prof. Fisiak mówi o tym publicznie, na efekty zbyt długo Poznań czekać nie powinien.

M. A. Jaworski

PS. Mam jeszcze do odnotowania dwie sprawy. Maria Urban-Mieszkowska („Geboren in Siemierz in Polen. Wohnhaft in Lublin...”) przysłała mi ulotkę w języku niemieckim o wystawie swych prac plastycznych w Zürichu. Dziękuję za zaproszenie, ale o delegację na wyjazd do Szwajcarii nawet nie zabiegam!

Druga informacja jest smutna. Ferdynand Rymarz, adwokat lubelski, napisał wspomnienie pośmiertne o Ewie Kolaczekowej (1910—1985), urodzonej w Strzyżewicach k. Lublina, a mieszkającej ostatecznie w Warszawie. Jest ona autorką kilku powieści dla młodzieży, a także urokliwej książeczki pt. „Mała kronika rodzinna”, której akcja toczy się w dawnych śląskich dworach Lubelszczyzny. Przyznaje samokrytycznie, że nie zna bliżej jej twórczości, ale myśli, że to „Mała kronika rodzinna” gdzieś zdobędzie. Jednocześnie przepraszam pana Rymarza, że tylko w tej formie odnotowuję odejście pisarki.

Przed Mexico' 86

Duch z Wembley

Wiesław Horabik



PO TRZYNASTU latach los zetknął ponownie w meczu o wielką stawkę reprezentacje Polski i Anglii. Trudno obecnie przewidzieć, czy Monterrey stanie się powtórką z Wembley; czy sytuacja w grupie będzie zbliżona do tamtej sprzed lat; czy ewentualny remis będzie także oznaczał zwycięstwo. Obie drużyny przeszły od owego czasu długą drogę. Drużyna polska z Kopciuską przedzierzgała się w królową i z pewnością nie ograniczy się w Meksyku wyłącznie do obrony. Angliki zaś dawno już utracili monopol na doskonałość. Mimo zapewnień trenera Robsona („Wembley to historia. To było dawno”) wielu fachowców utrzymuje jednak, że duch tamtego wieczoru wciąż jeszcze straszy w obozie Wyspiarzy...

Znajdowałem się wtedy w Londynie wraz z grupką Polaków. O przedsprzedaży biletów dowiedzieliśmy się pewnego wrześniowego popołudnia z małej notatki w „Evening Standard”. Kasy, rozrzucone wokół londyńskiego

giganta, przeżywały oblężenie. Takich kolejek miasto nie pamiętało z pewnością od pierwszych trudnych lat powojennych. Gdy po kilku godzinach dotarłem do zbawczego okienka, pozostały już tylko bilety na miejsca stojące. Przypadły mi na łuku, (mogłem to sprawdzić na specjalnym schemacie), w pobliżu jednej z bramek, na wprost linii pola karnego, na którym za miesiąc miały się dziać dziwne rzeczy.

Po sławnym z obustronnej brutalności meczu Polska — Walia w Chorzwie, wygranym przez Polaków 3:0 i poprzedzającym bezpośrednio Wembley, Walijscy pokazywali gole nogi przed kamerami telewizyj. Były na nich ślady urazów doznanych w walce z Polakami. Szczególnie rozgorączony był, usunięty z boiska, potężny brodac, Hockey. Angielscy dziennikarze potakiwali współczująco głowami, ale najwyraźniej byli już myślami przy 17 października. Były to myśli bez zadumy. Polska bowiem na długo przed

meczem została skazana na porażkę. Walijski cierpiętniczy ekshibicjonizm przyczynił się jedynie do rozdmuchania nastrojów szowinizmu i niechęci do całej naszej nacji. Uczucia te miały się przerodzić w groźny pomruk na stadionie, kiedy do łóż wchodził polski ambasador. Wielonakładowe „The Sun” i „Daily Mirror” zamieszczały fotografie naszych piłkarzy, radząc kibicom zapamiętanie tych „chuliganów”. Atmosferę w tym duchu zreszczenie zagęszczała telewizja.

Wielkim uspokojeniem dla fanów stała się natomiast, potwierdzona oficjalnie, absencja w polskim składzie Włodzimierza Lubańskiego, który był w owych latach, obok szynki (co za czasy!) i wódki, trzecią najbardziej nośną polską konotacją.

O przylocie Polaków dowiedzieliśmy się z radia, a o tym, że w przeddzień meczu będą trenować na stadionie Arsenalu — z „Evening News”. Mieszkaliśmy na Highbury i od boiska dzieliło nas kilkaset kroków. W potęgują-

cym się zimnie i siąpiącym drobnym deszczu czekaliśmy bardzo długo, nim z jednej z uliczek wynurzył się elegancki autokar, o przyćmionym, niebieskawym od dyskretnego światła wnętrzu. Najpierw wyszedł z samochodu trener Górski, któremu portier strzegący wejścia do pomieszczeń klubowych oddał szeroki ukłon, sądząc po Ramsey'u, iż ma, być może, także do czynienia z nuworyszowskim szlachcicem. Po czym wysypali się piłkarze: Gorgoń, Musiał, Tomaszewski. Byli poważni i jakby samotni. Nasze oklaski zabrzmiły sztucznie w kompletnej ciszy. Kilku wyrostków podsunęło notesy, na których składali zamasyte podpisy. A potem znikali bez słowa w jasnym hallu wiodącym do szatni. Ostatni wymaszerował Jacek Gmoch z siatką pełną łaciatych piłek. Przy krawężniku zatrzymała się wtedy na krótko czarna limuzyna, z której ktoś wykrzyknął: „Ja po treningu zabieram Kazia Górskiego do ambasady!” Całą scenę obserwowałem, oprócz nas, kilkudziesięciu angielskich kibiców, paru polskich dziennikarzy i ekipa telewi-

Spojrzenie na lordów

WIELKANOC oznacza w Anglii początek rocznego oblężenia dostojnych domów. Fortece, w których księżta i parowie ukrywają się od wieków, zostają zdobyte, a ich szlachetni mieszkańcy ukazują się światu. Zwyczaj zjadacz chleba może wówczas zobaczyć błękitną krew pulsującą w żywym cieple oraz przeżonać się, jak Angliki rozumieją tak często powtarzane porzekadło: „Mój dom to mój zamek”. Oglądanie lordów z bliska stało się popularną rozrywką, a opłacając należne wstępne, goście zapewniają arystokratycznym rodom dalszą egzystencję w ich naturalnym otoczeniu.

Księżta starej daty wzdrzają się na myśl o takim show. Wydaje im się i tak dostatecznym poświęceniem otwarcie skrzypiących drzwi własnych siedzib i oddelegowanie jednego ze służących do oprowadzania gości oraz pokazania im Rembrandtów, Van Dycków i rodzinnych portretów. Ale takie podejście to amatorszczyzna. Bardziej zawodowi szlachetnie urodzeni rozumieją, że ta droga wiedzie donikąd. Należy bowiem zachęcić ludzi i ująć ich specjalnym traktowaniem. Lord Montagu Beaulieu, na przykład, posiada przy swej rezydencji muzeum starych samochodów. Markiz Bath z koleją — kolekcję lwiattek hasających po pałacowych gruntach, a momentami ucinających sobie drzemkę w salonowym zaciszu.

Wszelkie jednak rekordy w przyciąganiu publiczności bije księżta Bedford. Stał się on showmanem arystokracji, ku uciechu zwiedzających i oburzeniu co bardziej konserwatywnych rodów. „Wiem, że nie jestem polującym na przepiórki księciem starej daty — twierdzi. — Ale żyjemy w czasach komercyjnej i tradycjonalistycznej już wkrótce nie będą mieli innego wyboru, jak pójść w moje ślady. Jeśli chcą, oczywiście, dalej istnieć”.

Księżciu udaje się co chwila trafić na nagłówki gazet, a pewnego razu zorganizował nawet weekend dla nudystów i wokół zamku wciąż jeszcze kręci się kilku jegomościów w nadziei zobaczenia choćby skrawka szokującej golizny. Przeciwnie siedziba księcia, zamek Woburn, przyjmuje około pół miliona zwiedzających rocznie, choć liczbę tę podważa lord Montagu, uważający siebie za prowadzącego w lidze dostojnych domostw. Z drugiej strony — markiz Bath twierdzi, że lord Montagu powinien być zdyskwalifikowany, jako że jego muzeum

pojazdów nie jest częścią rezydencji. Co do swoich lwiattek, utrzymuje, że to całkiem inna sprawa.

Arystokraci ubóstwiają konkurencję, choć „amator” księżta Marlborough nie na żarty się zdeenerwował, kiedy księżta Bedford po wizycie w jego domu napisał w pamiętkowej księdze, że taki pałac na gdzieś.

Lord Montagu stwierdził pewnego razu, że księżta Bedford przyciąga tłumy do opactwa Woburn jedynie dzięki swej osobowości i że kiedy odejdzie, pałac natychmiast poleci na dół ligowej tabeli. „To nonsens — odpowiada Jego Wysokość. — Jestem tylko jedną z rzeczy, które ludzie chcą zobaczyć. Publiczność interesuje po prostu, czy my także popijamy herbatę, tańczymy i słuchamy muzyki pop. Staram się jednak gospodarować według ściśle handlowych zasad, tak, że kiedy mój syn dojdzie do władzy, będzie miał się całkiem dobrze”.

Jak na razie, księżta pozostaje jedynym lordem, w którego siedzibie można spędzić noc za jedyne dwieście funtów. „Oczywiście, że to szalenie kosztowne — przyznaje. — Ale zawsze znajdują się ludzie, którzy ucziwie sądzą, że tu właśnie dostaną coś, czego nie ma gdzie indziej. Z reguły przybywają na popołudniową herbatkę. Serwujemy ją ze złotych czajniczek i tym podobnych rzeczy. Orowadzam ich potem po parku, po czym wypijamy cocktail w bibliotece. Następnie mogą odpocząć w sypialni, podczas gdy służba szykuje im kąpiel i odświeża ich wieczorowe stroje. Potem znowu drinki, lekka kolacja z kawiozem i szampa-nem w blasku świateł i przy kameralnej muzyce, i już większość z nich jest gotowa, aby w pełni szczęścia udać się na spoczynek”. Z reguły księżta organizuje dwa takie wieczory w tygodniu dla Amerykanów, Niemców czy Austriaków.



rys. Adam Lep

Był także inny członek rodziny, który uważał się za... kure i spędzał czas błąkając się po pałacu z gdakaniem. Bedfordowie zawsze byli indywidualnościami. Ian bogacił się stopniowo, korzystając z nagłych przypływów hojności swych ciotek (jedną z nich płaciła mu sześć pensów za każdą muchę, którą zabił). Nie wiodło mu się tylko z ojcem, który czasami nie odzywał się doń miesiącami, a w rezulta-

ryjna BBC 2. Na trening nie wpuszczono nikogo. Odeszliśmy więc z uczuciem zawodu i niepokoju. Gonili za nami docinki i prześmiejki.

W przedmeczowym programie telewizyjnym jedynym umiarkowanym pesymistą okazał się trener Manchester City — Malcolm Allison. Znał Górnika Zabrze z potyczek z własnym zespołem i przestrzegał przed wcale nie małymi umiejętnościami Polaków. Pozostała grupa ekspertów licytowała się jedynie co do wysokości wyniku. Najgłośniejszym był znany z ekstrawagancji i zapalczywości, ówczesny szkolenowiec Nottingham Forest — Brian Clough.

Dzień meczu okazał się pogodny; jak na angielską jesień — wymarzony. Świeciło pełne słońce i choć było chłodno, nawet najstarsi londyńczycy pozostawiali parasole w domach. Na słynnej beczce-mównicy w Hyde Parku, mniej było tym razem inwektiw pod adresem premiera Wilsona, mniej wyszukanych elaboratów zapoznanych geniuszy — za to co chwila ktoś, w różnych aspektach, roztrząsał wieczorne widowisko. Od wczesnych godzin rannych snuły się po ulicach grupki kibiców w pasiastych szalikach i cylindrach à la Union Jack. Mój szef w pracy wybierał się do kina, gdzie mecz miał być transponowany systemem telewizyjnym na szeroki ekran. Obiecywał mi piwo na pocieszenie.

Na stadion postanowiliśmy jechać autobusem. Wyruszyliśmy odpowiednio wcześnie. W miarę, jak oddalaliśmy się od centralnych dzielnic miasta, autobus wchłaniał coraz więcej miłośników futbolu. Byli hałaśliwi. Popijali puszkowe piwo i wywijali małymi chorągiewkami. Aby nie spowodować agresji, po polsku musieliśmy rozmawiać niemal szepem. Znalaliśmy już ich „możliwości” z meczów ligowych. Nasza droga na Wembley wiodła niemal przez całą metropolię.

Bryła stadionu rysowała się potężnie na tle ciemniejącego nieba. W ogromną nieckę spływały z zawieszonych wysoko jupiterów strugi ostrego światła. Wielka betonowa ulica zaroila się tysiącami ludzi. Rozległy parking połykał wszystkimi możliwymi ko-

lorami pojazdów. Szliśmy przytłumieni narastającym skandowaniem. „England, England!”, atmosferą święta, zanim jeszcze święto odrabiono. Mali chłopcy przekrzykiwali gwar, reklamując specjalne dodatki do gazet. Sprzedawcy balonów z trudem utrzymywali ich peki w potęgającym się wietrze. Z wielkich pudeł oferowano pamiątki, programy, foldery i kolorowe kotyliczki z napisem: „Good luck England”. Były też i te z „Good luck Poland”, ale w znacznie mniejszej liczbie. Kupiliśmy je, lecz obawa o całość głów nie pozwoliła nam ich poprzyćpinać. Nasz brak odwagi zniwelował dopiero jakiś potężny rozmiarów człowiek, który z ogromną flagą w dłoni obchodził manifestacyjnie schody, wiodące na widowie, pokrzykując gromkim głosem „Polska, Polska!”. Na trybuny wkroczyliśmy już ze znaczkami, dumnie przypiętymi do piersi. Zachwyciła mnie zieleń murawy, którą dostrzegłem przez oszklone przejścia do sektorów („To proste. Trzeba tylko trawę pielegnować, a potem odczekać sto lat i gotowe”). Na koronie stadionu, już pod dachem, rozrzucone były stoiska z kanapkami, piwem i słodyczkami. W obawie przed chłodem zakupiliśmy małą flaszkę whisky. A potem już zstąpiliśmy na mury schodów, przeznaczone dla pośledniej widowni.

Gdy rozejrzałem się wokół, dostrzegłem morze brytyjskich flag, wśród których gdzieś tam, z rzadka i nieśmiało, zakolysała się bialo-czerwona. Klęby dymu, jak z gigantycznego kotła, wznosiły się w stronę trapezowatych jupiterów. Na wielkiej tablicy świetlnej przemijały reklamy, aż wreszcie spiker zaczął wyczytywać skład obu drużyn. Przy każdym polskim nazwisku rozsadał głowę przenikliwy gwizd, każde angielskie kwitował triumfalny okrzyk. Najbardziej obawialiśmy się hymnu. Oddaleni od kraju od ponad sześciu miesięcy, ogarnięci coraz dotkliwszą tęsknotą, baliśmy się nagłego wzruszenia. Nasze obawy rozwiała widownia. Gdy orkiestra Gwardii Królewskiej rozpoczęła Mazurka Dąbrowskiego, jeden wielki gwizd zagłuszył skutecznie każde drgnienie melodii. Telewizyjne i radiowe filtry wrażeń to łagodziły, ale na stadionie zabrzmiało to niesia-

mowicie. W chwilę później sto tysięcy gardel zaintonowało „Good Save The Queen”.

Pilkarze rozbiegli się po murawie.

A potem był mecz. Mecz, który zapadł w pamięci kibiców chyba na zawsze. Odtwarzany wielokrotnie przez telewizję, przypominany niemal corocznie jak sportowa bitwa pod Grunwaldem. Jego przebieg znają wszyscy miłośnicy futbolu. Otworzył nam drogę do piłkarskiej sławy. Uznano go za mecz 40-lecia.

Zaraz na początku, kiedy nasza drużyna przeszła do skomasowanej obrony, mój przyjaciel, Kazio, przepchał się kilka stopni niżej, by nie słuchać naszych utyskiwań. Od pierwszego gwizdka belgijskiego arbitra Lorauz nad stadionem niosła się burza dopingu; chóralne śpiewy, przenikliwy głos piszczałek i glucho dudnienie bębneków. I wreszcie nadeszła pamiętna 57 minuta, kiedy to Lato, uruchomiony dalekim podaniem Musiała, przedarł się przez angielską obronę, dośrodkował do Domarskiego, a piłka pod brzuchem zbieżniętego, nierozgrzanego Shiltona wleczyła się do siatki. Stadion oniemiał. Usłyszałem tylko przeraźliwie wyraźnie głos Kazika: „O Jezul!”, kiedy roztrącając Anglików szarżował ku nam. Sciskając się upadliśmy na betonowe schodki. Gdy się podniosłem, zobaczyłem tylko trzy lub cztery polskie flagi rozdgotane na wietrze, osłupiałe twarze stojących obok ludzi i sylwetki angielskich pilkarzy kłęczących na murawie. Siwy dym klebił się, sunąc wolno w niebo, a nad stadionem dzwoniła w uszach absolutna cisza.

Potem był jeszcze rzut karny, którego... nie było (staliśmy tuż przy linii), wspaniałe robinsonady Tomaszewskiego i minuty, które rozciągały się w godziny. Niedopalaki spalanych lańcuchowo papierosów raz po raz spadały pod nasze nogi. Wreszcie zabrzmiał końcowy gwizdek i przyniósł nam uczucie ogromnej ulgi, pośpieszny odwrót angielskich kibiców i szaloną radość naszej garstki.

Po spotkaniu wszystkie piwiarnie w okolicy Wembley należały do Polaków.

Następnego dnia nagłówki gazet donosiły o końcu świata. Były posępne gratulacje mojego szefa, wielka prasowa dyskusja na temat honoru Anglii i wielki serial o Janie Tomaszewskim, sprowokowany niedzielnym oświadczeniem Briana Clougha — „Geniusz czy błazen?”. A potem już ogromny, nieskrywany niepokój, przy okazji losowania kolejnych międzynarodowych rozgrywek: Oby tylko nie trafić na Polaków!

Stwierdzenia więc trenera Robsona, lekceważące tamten mecz, odbiegają znacznie od przeczuć kibiców i części fachowców.

To fakt, że czerwcowa sceneria polsko-angielskiej konfrontacji będzie inna, inny jest również układ sił w światowym futbolu. Z bieżących doniesień brytyjskiej prasy wylania się jednak skrzętnie kamuflowana, ale wszechobecna obawa: Czy duch z Wembley będzie straszył?

Wywołałem go więc. Niech okaże się pomocny w Monterrey!

WORLD CUP Why we failed by the Express experts



IT'S GOODBYE TO MUNICH
Alf blunders over Hector

Repr. Arkadiusz Karoń

cie go wydziedziczył. Ian musiał więc zacząć zarabiać na własne utrzymanie. Został dziennikarzem w „Sunday Express” i odtąd ogromnie lubi przedstawicieli prasy. „Rozumiem tych chłopców — mówi. — Ja byłem tak samo skorumpowany jak i oni”.

W 1953 roku grał w golfa, kiedy zadzwonił jeden z reporterów, aby mu powiedzieć, że zginął jego ojciec. Było to dosyć dziwne, gdyż starszerek nigdzie nie wychodził i zawsze otaczała go służba. Informacja okazała się jednak rzetelna. Znalaziono go potem martwego w parku, gdzie popelnił samobójstwo. Pałac Woburn należał w tym czasie do pewnej spółki i aby w nim zamieszkać, musiał Ian wykupić go za cztery i pół miliona funtów. Wtedy to postanowił odzyskać część utraconej sumy przez otwarcie bram opactwa dla szerokiej publiczności. Zaangażował więc specjalistów od reklamy, urządził przy zamku plac zabaw dla dzieci, mini-kasyno gry, strzelnicę, antykwariat, ZOO i zgromadził stadko jeleni, w tym kilka nader rzadkich okazów.

Na zewnątrz i wewnątrz rezydencji znajdują się kioski z pamiątkami, a jeden z pokoi został przeobrażony na restaurację. Jedynym niespodzianym problemem okazał się brak toalet, z którymi zresztą są w ogóle kłopoty we wszystkich dostojnych domach.

Książę często wyjeżdża za granicę, by reklamować Woburn. Dwukrotnie grał także rolę arystokraty na ekranie, a raz wystąpił nawet w telewizji, reklamując pastę do podłóg.

Jego trzecią żoną jest francuska producentka filmowa, na ślub z nią lord zgodził się dopiero po zawarciu kontraktu ze stacją telewizyjną, która miała filmować całą ceremonię. Książę otwarcie przyznaje, że ma zwyczaj robienia pieniędzy na wszystkim, choć nigdy nie udało mu się skłonić do przyniesienia dochodów... ducha Woburn, który pojawia się nieregularnie i to wyłącznie po północy. Same zyski z gastronomii sięgają jednak 100 000 funtów rocznie. Zapytany, czy sam wymyśla wszystkie atrakcje, książę odparł: „W istocie tak, chociaż obecnie wielu ludzi odpowiada mi swoje pomysły. Sądzę wszakże, iż mnie samemu nigdy ich nie zabraknie tak długo, jak długo istnieć będą ludzie równie zwariowani jak ja”.

Książę przeszedł na emeryturę, a nam pozostaje czekać, aby przekonać się, jak szalonym okaże się jego syn.

Oprac. H. W.

Na podstawie wywiadu Petera Brusse z lordem Bedford, zamieszczonego w broszurce pt. „England Doesn't Exist”.

Światostaw Richter w kilku notatkach

RICHTER przemawia do nas za pośrednictwem muzyki już prawie pół wieku, ale jego życie pozostaje tajemnicą. Nie udziela wywiadów. Rozmowa z nim jest trudna. Dla niego liczy się tylko muzyka. Jedynie przyjaciół dala Ericowi Antherowi prawo do przebywania w pobliżu Richtera i sporządzenia notatek, które opublikował na łamach „Le Monde de la Musique”.

Światostaw Richter skończył w ubiegłym roku siedemdziesiąt lat. O swoim wieku mówi z gorczyką: „Cóż to jest siedemdziesiąt? Jestem smutny, bo jestem siedem i zero... a także zero”.

Kiedy Richter gra, mówi, spaceruje — jest ciągle młodym człowiekiem. W czasie wizyty u przyjaciela wspólnie z innymi bawili się w burzę, rozbijając o chodnik foliowe torbki, napelnione wodą. Patrząc na reprodukcję Picassa „Chłopiec robiący bańki mydlane”, Richter mówi: „Jeśli chce pan wiedzieć, uwielbiałem robić to samo... I jeszcze teraz, kiedy palę papierosa obserwuję kółka z dymu, jak powstają, ulatują i znikają. Ach! Mydlane bańki, uwielbiałem to”.

Niestety, dążenie do doskonałości ciągle zatrzuwa mu życie: „Kiedy otwieram partyturę, natychmiast mam pechotę, co trzeba zrobić. Moja interpretacja nie przechodzi ewolucji. Nie ustaję jedynie w próbach wypowiedzi. Jeśli tylko jest coś jeszcze do powiedzenia — ciągle mam wątpliwości”. Jego przyjaciel, dyrygent George Georgescu, wielkiej klasy człowiek, powiedział pewnego dnia: „Ależ przestań być dla siebie tak surowym krytykiem. Ty zawsze wszystko, ja tylko trochę, a publiczność nic. A w ten sposób osłabiasz jej entuzjazm”.

Próba „Trio” Ravela w studio konserwatorium w Tours. Oleg Kogan i Natalia Gutman zachowują się jak tenisiści na korcie. Jak w przypadku chybionej piłki ogląda się rakietę, tak i oni z gniewnymi minami kontrolują swoje instrumenty, jeśli zdarzy im się niedobry dźwięk. Przychodzi kolej na Richtera, a on rzuca się do remontowywania pianina. Zagłębia się w jego wnętrza, wotując z furją: „Szukam fałszywej nuty! Gdzie? Gdzie? Gdzie?”



Rys. Józef Tarłowski

Znalazł się w klinice psychiatrycznej w Monachium, po tournée japońskim, w czasie którego wykonywał Sonatę op. 106 Beethovena „Hammerklavier”. — „Ona skołatała moją głowę. To wtedy zacząłem bać się wszystkiego. Nie mogłem spać w łóż-

ku, więc spałem na podłodze w pokojach hotelowych, a wchodząc do pomieszczenia, szukałem cichego zakątka. Jednak nie grałem zle”.

Pianista Konstantin Igumnow powiedział kiedyś do Richtera: „Ty nie dość kochasz pianino”. „W istocie, ja Kocham muzykę” — odrzekł Richter.

Artysta słucha jej trochę, ale nigdy nie własnej interpretacji. Obecnie ze sztuką dla przyjemności wyraża się w uwielbieniu malarstwa: „Wolę towarzysztwo malarzy niż muzyków”. Richter w pewnym okresie malował. Falk powiedział kiedyś o przyjacielu: „To był materiał na prawdziwego malarza, gdyby tylko trochę więcej pracował”. Ale Richter porzucił malarstwo: „Nie można robić wszystkiego”.

W swojej sypialni w Moskwie wieszono co tydzień nowe reprodukcje, wybrane przez przypadkiem. Ostatnio znalazł się tam prymitywista Jean Moreau, choć takie obrazy nie są w guście pianisty. Jego fascynacja to genialny Monet (oprócz kilku złotych płócien np. „Most w Giverny”), największy według niego Cézanne, późniejsi Picasso, Hartung, Léger, Miró, Mondrian i zadziwiający Corot.

Richter lubi doszukiwać się w nazwiskach znaczeń. Uważa, że określają one ludzi, np. Bełłini (piękno), Lippi (nagłość). Uwielbia też nadawać przyjaciółom przydomki. Oleg Kogan jest „zapałka”, bo w każdym momencie posiada ogień, Jurij Bashmet — „czarny kruciem”, z powodu swej czupryny.

W stosunku Richtera do prostych ludzi jest dużo szacunku i uprzejmości. Mówi się, że uwielbiają go sprzedawcy. Na ulicy, w sklepie Richter nie przestaje być artystą: „Proszę mi podać coś najdroższego. Chciałbym szal dla kobiety, która nie jest najmłodszą, nie za bardzo elegancką, ale chciałaby uchodzić za elegancką i młodą”. Szukając krawata dla Riccardo Muti: „Nie, nie, zbyt banalny, zbyt klasyczny. Proszę zrozumieć, tu potrzeba więcej fantazji, to dla artysty — owiazdu!”

Richter sam robi zapiski. Jego notatniki pełnią go swożach. Nie ma w nich kawałka wolnego miejsca. Odnotowuje tam np. wszystkie restauracje, w jakich jada, hotele, z których wychodzi: „Musiał pan, że jestem nastnikiem? Tak, być może... ale nie, myślę, że jest to naturalne. Ich wola niech. Nazze pozwolenie. Gdzie się zdoływamy? W jaki sposób? Z kim? To także rzeczy określające człowieka...”

Odrac. Irena Filus

Od Cassino do Bolonii

POCZĄTKI dziejów „niezwykłego oddziału”, którym przyszło mi dowodzić na froncie w Italii, rozpoczynają się w okresie, gdy wojska 2 Polskiego Korpusu przystąpiły do pierwszych działań bojowych we Włoszech.

Pod koniec stycznia 1944 r. oddziały „mojej” 3 Dywizji Strzelców Karpaccich rozpoczęły luzowanie 78 dywizji piechoty z 13 Korpusu Brytyjskiego nad górską rzeką Sangro w Abruzzach. 26 lutego 1944 r. wysunięty ośrodek obrony Castel di Sangro objął 5 Baon Strzelców Karpaccich trzema kompaniami: 1, 2 i 4; pluton rozpoznawczy ppor. Kazimierza Partyki bronił wschodniego wylotu tunelu kolejowego pod Monte Pagano, górą wznoszącą się 1301 m nad poziom morza. Wydzielone plutony stanowiły odwód tego samodzielnego ośrodka oporu dowodzonego przez d-cę 5 BSK, mjr. Karola Piłata. Tunel pod Monte Pagano został oczyszczony przez saperów dywizyjnych i później, od 25 marca, zaczęły iść tędy konwoje z zaopatrzeniem do Castel di Sangro. Ale, dla zmylenia Niemców, zajmujących pozycje po drugiej stronie rzeki Sangro, co pewien czas szły nadal konwoje starą drogą z Rionero.

Po odebraniu mi przez majora Piłata — ze względów czysto personalnych — dowództwa 3 kompanii, pełniłem od kilku tygodni funkcję zastępcy dowódcy kompanii dowodzenia w 5 Baonie Strzelców Karpaccich. 26 lutego mój „wódz” obdarował mnie kolejną funkcją: konwojenta baonowego. Powierzono mi zadanie organizowania i przeprowadzania konwojów z zaopatrzeniem do ośrodka Castel di Sangro. Moje nowe „miejsce postoju” znajdowało się w małej górskiej miejscinie Rionero.

Była bardzo ciężka, mroźna i śnieżna zima. Kwatera w małym domku, którą jako tako urządził mi mój pocztowy osobisty, strzelec Michał Stachnik, zionęła pustką i przejmującym do szpiku kości chłodem. Woda zamarzała w wiadrze, szyby okienne były oblodzone i zasypane śniegiem. Po kilku dniach mój Michał „zagospodarował” gdzieś piecyk naftowy, który, choć smrodził, wniósł nieco ciepła w te opuszczone mury mojej kwatery w śniegiem zavalonym miasteczku. Ogólnie — nuda. Nuda, zimno i głodnawo, mimo że gdzieś w pobliżu, ukryta za domkami, dymiła kuchnia którejś kompanii 3 Baonu Strzelców Karpaccich. To tam otrzymywalimy naszą codzienną strawę, którą, na wpeł chłodną, donosił na kwatery mój troskliwy goniec.

W Rionero zwykle przed zmrokiem formował się cały konwój. Początkowo — ubezpieczony carrierami, później — przez wozy pancerne Pułku Ułanów Karpaccich. Konwój, z wozami wypełnionymi amunicją, żywnością i wszelkim materiałem potrzebnym dla ośrodka obronnego Castel di Sangro, ruszał nocą — o różnych zawsze godzinach — przez Ponte Zittola, a następnie — S. Lucia (gdzie znajdowała się nasza placówka), docierając wreszcie do ruin miasteczka Castel di

Rozpoczynamy druk fragmentów wspomnień Feliksa Kępy, byłego dowódcy unikalnego, polsko-włoskiego oddziału do zadań dywersyjno-sabotażowych, działającego pod rozkazami 2 Korpusu Polskiego na froncie w Italii. Oddział przeżył szlak bojowy od Monte Cassino, poprzez Ankonę i walki w Apeninie Emiliańskim, aż po bitwę o Bolonię. Przez pewien czas „111 Kompania Ochrony Mostów” porucznika Kępy wchodziła — wraz ze słynną polską 1 Samodzielną Kompanią Commando — w skład Zgrupowania Commando pod dowództwem majora Władysława Smrokowskiego, jako 2 Kompania „Commando”. Po rozwiązaniu Zgrupowania drogi obydwu oddziałów rozeszły się, ale kompania „włoska” nadal używała honorowej nazwy: 2 Kompania „Commando”. Bliższe szczegóły dotyczące działalności tej kompanii były dotąd prawie nieznanne. Stąd wspomnienia jej dowódcy stanowią zarówno dla historyka, jak i dla szerokiego kręgu czytelników, materiał wręcz sensacyjny. Mieszkający w Londynie p. Feliks Kępa powierzył mi rękopis nigdy dotąd nie publikowanych wspomnień kilka miesięcy temu, po przeczytaniu mojej książki „Na ścieżkach polskich komandosów” (jej obszernie fragmenty publikowała swego czasu „Kamena”), w której znalazł się także fragment poświęcony jego Kompanii.

Kilka słów o autorze. Feliks Kępa urodził się w 1912 r. w Krzemienicy, pow. Rawa Mazowiecka. Po skończeniu gimnazjum humanistycznego w Ostrowi Mazowieckiej wstąpił w 1933 r. do Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie k. Ostrowi Mazowieckiej. Po promocji w 1936 r. otrzymał pierwszy przy-

Sangro. Tą samą drogą była zaopatrywana również tamtejsza ludność cywilna. Od Ponte Zittola droga przebiegała równoległe do pozycji obronnych nieprzyjaciela, dominujących nad całą doliną rzeki Sangro. Dlatego za dnia cały ruch na tym odcinku był absolutnie wykluczony. Poza ogniem artylerii i moździerzy należało się również liczyć z jakimś specjalnym wypadem Niemców na konwój. Wreszcie należało pamiętać o przypadkowych,

drobnych patrolach nieprzyjaciela, no i o minach, które mogły „zapaskudzić” drogę konwoju. Ukrycie min w śniegu nie przedstawiało żadnych trudności, a Niemcy założyli ich nad Sangro bardzo dużo i wiele naszych oddziałów ponosiło właśnie od min dotkliwe straty.

Ostatniego dnia mojego konwojowania, dokładnie: 24 marca wieczorem, otrzymałem od dowódcy baonu rozkaz o moim odkomenderowaniu do tworzącego się, bliżej nieznanego oddziału. Wyjazd niezwłoczny, pocztowego osobistego mogę zabrać ze sobą, transport zapewni mi oficer transportowy baonu — ppor. Władysław Krzycho-

25 marca 1944 r. wyruszyłem do Roccasicura. Miasteczko to było odległe, w linii powietrznej, zaledwie o 15 kilometrów. Ale aby się do niego dostać, trzeba było pokonać ponad czterdzieści kilometrów krętych, górskich dróg. Ostatecznie dotarłem tam ciężarówką „dodge’a” — wraz z całym moim „majątkiem” i strz. Stachnikiem — tego samego dnia, po południu.

Podobne jak ja rozkazy odkomenderowania otrzymała część kadry ze stojących nad Sangro 4 i 6 Baonu S. K., 3 Baonu CKM, baonu saperów oraz Pułku Ułanów Podolskich — notabene, najbardziej oddalonego od Roccasicura. Pomyślałem, że nareszcie nadszedł dla mnie szczęśliwy czas, okazja, aby wyrwać się z 5 Baonu, bo od dłuższego już czasu stosunki między mną a dowódcą baonu, majorem Karolem Piłatem, układały się niepomyślnie, a nawet wrogo. Z czasem stało się to nie do wytrzymania... Dobrze więc, że skończyła się jakakolwiek współzależność i współpraca między nami.

W Roccasicura, małej górskiej miejscinie, zameldowałem się u majora Andrzeja Racięskiego. Wówczas to dowiedziałem się dopiero, że powierzono mi on dowództwo tzw. „111 Kompanii Ochrony Mostów” (Cento Undici Compagnia Pontonieri — określił ją „po-

włosku mjr Racięski), zorganizowanej — a raczej będącej wciąż w stadium organizacji — z ochotników włoskich i kadry polskiej.

Mjr. Andrzejowi Racięskiemu, zastępcy dowódcy 3 pułku artylerii ppanc., polecono jakiś czas temu zorganizowanie kompanii przeznaczonych do działań dywersyjno-sabotażowych, a składającej się z ochotników włoskich. Dowodzenie tą kompanią miało

spoczywać w rękach polskiej kadry przybyłej z wymienionych przeze mnie powyżej oddziałów.

Z końcem lutego lub w pierwszych dniach marca 1944 r. mjr Racięski otrzymał od dowódcy 3 Dywizji Strzelców Karpaccich, gen. Bronisława Duchy, rozkaz udania się do miejscowości Roccasicura, gdzie „pozostanie w dyspozycji władz angielskich aż do odwołania”. Jak to, było dalek, Racięski opisał później w barwny sposób na łamach „Gońca Karpacciego”, pisma 3 DSK (nr 1/288) we wspomnieniu zatytułowanym: „Al Valore Militare — Rzecz o włoskich komandosach w wojsku polskim we Włoszech”. Podobną opowieść snuł przede mną owego marcowego dnia 1944 r. w Roccasicura, gdy przejmowałem od niego kompanię...

Dużo pięknych, romantycznych miasteczek zdążyłem już we Włoszech zobaczyć. Gdy jednak dotarłem do Rocca Sicura (Bezpieczna Skala), wydało mi się, że przez pomyłkę wjechałem na scenę w operze. Wcisnięty między strome wzgórza, miniaturowy rynek nie pomieścił spiętrzonych nad nim domków. Stary ratusz z przepięknymi podcieniami, z wieżą, która przytłaczała całe miasteczko... Ołbrzymi czarny zegar ratusza wskazywał godzinę kapitulacji Włoch sprzed pół roku [...]. Jedną z uliczek wypełniał niewielki kościół, drugą — zatarasowały wozy ciężarowe oczekujących na mnie Anglików. Z wyższego rozkazu, w sprężystej postawie i salutem, powitał mnie angielski major, w niemal... płynnym polskim języku. Nie mogąc wymówić mego nazwiska, upewnił się, że jestem tym — „doświadczonym z Polski i Libii w specjalnych zadaniach bojowych” — oficerem. Nie umiał mi nic wyjaśnić, prócz tego, że mi dostarczy od stu do dwustu byłych włoskich żołnierzy. Na zadanie zaopatrzy mnie w broń włoską i angielską, a nawet, w razie potrzeby, w niemiecką, i we wszystkie materiały bojowe. Kandydaci włoscy otrzymają umundurowanie i wyżywienie, a ja — fundusze na wypłatę żołdu w walucie okupacyj-

dział do 42 pp. w Białymstoku. W kampanii wrześniowej dowodził, w 13 pułku, koł...
ców, biorąc m. in. udział w walkach na przyczepach Ostrołęki, Nowogrodu i Łomży, kończąc kampanię w Czerwonym Borze koło Zambrowa. Potem znalazł się w Związku Radzieckim. Kiedy w ZSRR zaczęto organizować polską armię, wstąpił w jej szeregi. Został dowódcą 9 kompanii w 21 pułku piechoty. Po przejściu wojska polskiego na Srodkowy Wschód znalazł się w 3 Dywizji Strzelców Karpaccich, pełniąc służbę najpierw w 9, potem w 3, a najdłużej w 5 Baonie Strzelców Karpaccich jako dowódca 3 kompanii. Pod Castel di Sangro we Włoszech — już jako z-ca dowódcy kompanii dowodzenia — porucznik Kępa został odkomenderowany do organizowania polsko-włoskiego oddziału dywersyjno-sabotażowego — występującego pod nazwą: „111 Kompania Ochrony Mostów” — jako jego dowódca.

Awansowany następnie na kapitana, odznaczony licznymi orderami, m. in. Krzyżem „Virtuti Militari” IV kl., Krzyżem Walecznych, włoskimi krzyżami „Croce al Valor Militare” i „Croce al Merito Militare” oraz gwiazdą brytyjską „The Italy Star” — swą służbę wojskową zakończył Feliks Kępa w stopniu majora, będąc dowódcą kompanii wsparcia w 65 Pomorskim Baonie Piechoty 2 Dywizji Pancerniej w 2 Korpusie Polskim. Osiedliwszy się po wojnie w Wielkiej Brytanii, przez wiele lat prowadził przedsiębiorstwo elektrotechniczne, aż do przejścia na emeryturę.

Mirosław Derecki

nej. Sprawa jest najściślejszej tajemnicy, chociaż cel nie jest mi znany. Wszystko zależy od mojej decyzji, za którą sam i tylko przed sobą odpowiadam. [...] Cała sprawa pozostaje w czyjejś, nie ustalonej jeszcze, kompetencji.

Przysłany z drugiej karpacciej brygady oficerom i podoficerom powiedziałem, że nie mają się o nic pytać, ani też słowa pisać o tym, co i

dlaczego robią. Mają szybko i drobniawo przeprowadzić intensywną zaprawę, jaką przewiduję dla tej bandy Włosiaków. Bez odpoczynków niedzielnych, w ciągu trzech tygodni, mają być gotowi do samodzielnego działania w zespołach od dwóch do sześciu w każdym terenie. W górach, na szczytach i stokach, i w przepaściach. W rzekach i w potokach. W ulicach i na dachach domów. W dzień i w nocy, w głodzie i chłodzie. W ogniu przeciwnika i w pościgu. Wszystko drobniawo widzieć i skrzętnie zapamiętać. Meldować. W razie potrzeby niszczyć granatami lub materiałem wybuchowym mosty, różne obiekty i działa niemieckie. Toczyć walkę samodzielną — kulą, granatem, nożem, kolbą, pałką, pięścią, nogą i głową. Nigdy nie liczyć na pomoc. Zawsze zbierać wiadomości i dokumenty. A przede wszystkim — zdobyć jeńca.

Przeegzamnowałem Włochów. Wszyscy prawie mieli ukończone szkoły podoficerskie, a kilku oficerskie kursy rezerwy. Jeden był oficerem lotnictwa. Służyli we wszystkich rodzajach armii włoskiej, od piechoty do obsługi lotnisk. Ponad połowa pochodziła z Włoch północnych, odciętych frontem wojennym. Byli, po opuszczeniu wojsk włoskich, w drodze do domu.

Podaliśmy im ogólny plan zaprawy, dorozumieli się więc, o co chodzi. Przy świadkach podpisali indywidualne kontrakty. Wypowiedzenie służby w oddziale — w terminie dwudziestoczegogodzinnym, bez prawa do odszkodowania. Natychmiastowe wydalenie za pijaństwo i uchybienia dyscyplinarne. Ryzyko śmierci i inwalidztwa ponoszą sami, lecz mają prawo do opieki w szpitalach wojskowych polskich, alianckich i, zapewne, włoskich. Stawka dziennego żołdu — ustalona dla robotników przez wojskowe alianckie władze okupacyjne — 50 lirów okupacyjnych. Plus wyżywienie, umundurowanie, uzbrojenie i wyekwipowanie.

Dostarczył mi Anglik od razu kilkudziesięciu doskonałych włoskich wielostrzałowych automatycznych karabinów.

Niezwykły oddział

Feliks Kępa

Dziejopis narodowy

Wiesław Śladkowski

Na zapytanie Włochów, w jakim od-
tacz, po chwili...
„Cento Undici Com-
Pontonieri” — sto jedenasta
kompania mostowa. Wszyscy wybuch-
nęli śmiechem. Na 250 zgłoszonych
kontrakt podpisało 170.

Polski dowódca kompanii, jego ofi-
ceroi i podoficerowie moje wytyzo-
ne wykonywali na dwieście procent.
Zaciskając zęby — Włosi wytrzy-
mywali. Pełzali w ogniu karabinów
maszynowych i granatów ręcznych.
Wspinali się po ścianach i skalnych
urwiskach. Unikając ognia karabinów
maszynowych, skakali do rzeki. Sami
się ratowali od utonięcia w rwących
strumieniach. W dzień i w nocy strze-
lali spod pachy do różnych celów.
Biegli na przelaj całymi kilometrami
bez możliwości ugaznienia pragnienia;
manierek nie pozwoliłem im wydawać.
Po biegu napadali na grupki kolegów.
Stacjali walki na pięści. Uczyli się
wiązania różnych węzłów przy postu-
gowaniu się linami. Wytrzymałi
wszystko; gardzili tylko... angielskim
prowiantom. Tęsknili do makaronów i
wina. W górach o te artykuły było
bardzo w czasie wojny trudno.

Kilkunastu poszkodowanych na ciele
odeszło do szpitala, lecz chętnie stam-
nad powracali. Znosili cierpliwie po-
niecierkę — dla honoru przynależno-
ści do wojska polskiego. Gdy wracali
z ćwiczeń i próbowali się uśmiechać,
jakiś tragicznie-blażeński grymas ukazy-
wał się na twarzach. Niektórzy przy-
chodzili ukradkiem do mnie, aby się
wypowiadać z żalu nad sobą. Niejednego
poklepałem po łopatkach dla do-
dania otuchy, wtedy lzy ciurkiem spa-
dały na utytłane w błocie mundury.
Wieczorem, przy śpiewie zasypiali.
[...] Chcieli posunąć się na północ, by
być bliżej domów. Nabierali tymcza-
sem nowych cech, naśladowali chłód su-
nów północy i Anglii. Rozmawiali spo-
kojnie, bez uniesień, porzobili się nie-
zbędnej we włoskich dyskusjach, ge-
stykulacji.

Tygodnie mijaly. Nie otrzymałem
ani od Anglików, ani od swoich żad-
nych decyzji co do zadań oddziału.
Zauważyli tutaj przypuszczalnie nasze,
a właściwie angielskie, uprzedzenia do
włoskiego żołnierza [...].

*

Na tym major Raciński zakończył
swoją opowieść. Posiedzieliśmy jeszcze
trochę przy ogniu, pogadałiśmy na in-
ne tematy, a potem poszliśmy spać.
Wkrótce major powrócił do swego ma-
cierzystego oddziału, 3 pułku artylerii
ppanc., którym dowodził mjr Kazi-
mierz Choroszewski, a ja zostałem w
Roccasicura z moim „wojskiem”. Troska
o nasze zaopatrzenie spoczywała
nadal w rękach kpt. int. Grinfelda
Arwina, oficera do spraw kwater-
mistrzowskich 3 pułku artylerii prze-
ciwpancernej.

Taki był początek drogi tego moje-
go polsko-włosko-jugosłowiańskiego
oddziału (jako że 4 czerwca 1944 r. w
Oratino przyjąłem do kompanii dwu-
dziestu ochotników Jugosłowian), powsta-
łego z inicjatywy angielskiej, a zorga-
nizowanego przez Polaków Główny
wysięk organizacyjno-wyszkoleniowy
spoczywał na barkach Polaków („sta-
rej” kadry kompanii, a później także
instruktorów polskiej i Samodzielnej
Kompanii Commando); Anglicy wzięli
na siebie naukę sabotażu i dywersji,
Włosi — naukę o bronii.

„111 Kompania Ochrony Mostów”...
Ta dziwna i śmieszna nazwa kompanii
szkolonej od samego początku i przy-
gotowywanej do działań bojowych ty-
pu komandosowskiego: dywersja i sa-
botaż, a nie do jakiejś tam służby „o-
chrony mostów”, wprowadzała później
w błąd niejednego „wojennego skry-
bę”. Natomiast nadana przeze mnie
oddziałowi nazwa: 2 Kompania „Com-
mando” — choć nieformalna — była
najbardziej właściwa i odpowiednia ze
względu na wyszkolenie i przeznacze-
nie kompanii do przyszłych zadań bo-
jowych. Oczywiście, nie byliśmy ko-
mandosami w pełnym tego słowa zna-
czeniu, nie posiadaliśmy statusu bry-
tyjskich regularnych komandosów
tak jak to było w wypadku polskiej
i Samodzielnej Kompanii Commando
Dłatego słowa „Commando” w odnie-
sieniu do nazwy naszego oddziału pi-
sałem zawsze w cudzysłowie. Ale ta
nazwa ta została okupiona krwią i
przyjętowa czynnami bojowymi
w starciach na polach bitewnych Italii
w stulecia, nadal jestem prze-
konany, że słusznie nam się należała.

(cdn.)

Do druku przygotował:

Mirosław Derecki

JOACHIM Lelewel był wielkim
historykiem, jednocześnie polity-
kiem, rzecznikiem walki o
wolność, sprawiedliwość i bra-
terstwo ludów. Dążenia te i idee łączył
z umiłowaniem ojczyzny. W dwusetną
rocznicę jego urodzin, gdy raz jeszcze
spoglądamy na życie i działalność te-
go wybitnego Polaka, zdumienie budzi
wielkość jego dzieła, osiągniętego w
jakże trudnych warunkach. Był jednym
z tragicznego pokolenia bojowników,
zestarców i tułaczy.

Urodził się 22 marca 1786 r. w War-
szawie. Matka jego, Ewa z Szelutów,
wywodziła się ze szlachty mazowiec-
kiej, ojciec, Karol Lelewel, skarbnik
generalny Komisji Edukacji Narodowej,
pochodził z rodziny niemieckiej,
sam był już patriotą polskim, w tym
duchu wychowywali też Lelewelowie
swoje dzieci. Studia historyczne odbył
Joachim Lelewel na uniwersytecie wileń-
skim, w latach 1815—1818 jako za-
stępca profesora wykladał tu historię
powszechną. Po kilkuletniej pracy w
bibliotece Uniwersytetu Warszawskie-
go, w 1822 r. jako profesor zwyczajny
objął katedrę historii w macierzystej
uczelnii. Powracając do Wilna Le-
wela witał oda Adam Mickiewicz:

*Lelewelu! rzetelną kazdy chlubę wyzna,
Ze Ciebie takim polską wydała ojczyzna,
Na świętym dziejopisa jaśniejąc urzędzie,
Wskazujesz nam, co było, co jest,
co będzie.*

Uwielbiany przez młodzież filarec-
ką, która tłumnie i z przejęciem słu-
cowała jego wykładów z dziejów ojczy-
stych, przenikniętych patriotyzmem i
bliskim jej duchem romantycznym, był
jej przewodnikiem. Po wykryciu wileń-
skich patriotycznych organizacji stu-
denckich został na polecenie carskiego
senatora Nowosilowa usunięty w 1824
r. z katedry wileńskiej. Po powrocie do
Warszawy związał się z ruchem nie-
podległościowym, w 1825 r. wstąpił do
Towarzystwa Patriotycznego, a w 1829
r. został wybrany posłem na Sejm. Po-
wstanie listopadowe wyniosło Lelewela
na powierzchnię życia politycznego.
Był członkiem rządu narodowego, sku-
piającego pod prezesurą księcia Ada-
ma Jerzego Czartoryskiego konserwa-
tystów i umiarkowanych liberalów,
równocześnie, jako przewodniczący ra-
dykalnego Klubu Patriotycznego, prze-
wodził rewolucyjnej lewicy. Zajął sta-
nowisko kompromisowe, starał się, jak
mówił, „obie strony wyrozumieć”, spo-
wodował ich zgodny udział w powsta-
niu. W rzeczywistości swa polityka,
którą uznano za chwiejną, nie zadowo-
lił nikogo. Prawica uważała go za wi-
chrzyciela, lewica wyrzucała mu brak
rewolucyjnego zdecydowania. „Im cie-
mniej i odleglejsze czasy historii, tym
on [Lelewel — W. S.] lepiej widzi” —
pisał Maurycy Mochacki — im bliżej
czasów dzisiejszych, tym wzrok jego
wiecej zasnawa się ciemną powłoką”.

Lelewel nie był więc wybitnym politykiem
ani mężem stanu, można w nim natomiast
widzieć jednego z idealnych przywódców
powstań. W swych wystąpieniach kreślił
wizję Polski republikańskiej i demokratycznej,
zapewniającej wolność i równość
wszystkim stanom i obywatelom. Głosił, iż
powstanie nie jest skierowane przeciwko
narodowi rosyjskiemu, lecz zaboremu ce-
sarowi, był autorem odezw do żołnierzy
rosyjskich, wysuwającej hasła walki „za
naszą i waszą wolność”.

Gdy powstanie upadło, Lelewel, wraz
„z mnogim ludem”, wkradł się na szlak
tułaczy, znalazł się na emigracji w Pa-
ryżu. Jako prezes Komitetu Narodo-
wego Polskiego usiłował zjednoczyć
wychodźstwo polskie. Wśród ostrych
dyskusji o przyczynę klęski powsta-
nia, które podzieliły emigrację polską
na prawicę i lewicę, jednostronny ko-
mitet lelewelowski rychło rozpadł się,
a jego przewodniczący został wydalo-
ny z granic Francji. W niebieskiej, ro-
botniczej bluzie udał się Lelewel pie-
szo do Belgii, w Brukseli wynajął
skromny pokój w gospodzie „de Var-

sovie”, miał w nim spędzić resztę swe-
go życia. Dumny i niezależny, odmaw-
iał wszelkich zapomog, za niegodne
uchodził politycznego polskiego uważ-
zał też podjęcie stałej pracy u obcych,
żył z nieregularnych honorariów au-
torskich w biedzie i nędzy, obywając
się nierzadko kromką suchego chleba
i filiżanką kawy. Chociaż oddalony od
paryskiego centrum emigracyjnego, był
w dalszym ciągu najwyższym autory-
tetem dla jej demokratycznego nurtu.
Kierował działalnością Młodej Polski,
był też jednym z przywódców Komitetu
Zjednoczenia Emigracji. W latach
1847—1848 zetknął się w Brukseli z
Marksem, Engelsem i Bakuninem w
Międzynarodowym Towarzystwie De-
mokratycznym, założonym z inicjaty-
wy Związku Komunistów, poddając się
urokowi nowych haseł, które miały
zaowocować w niedalekiej już przy-
szłości.



Rys. Józef Tarłowski

Joachim Lelewel był przede wszyst-
kim historykiem. „Nauka była zatrud-
nieniem całego mego życia — pisał —
jest ona moją drugą ojczyzną. Jeżeli
kiedy oddałem jaką usługę memu krajo-
wi, to nie indziej, tylko na polu nauki”.
Nim znalazł się na emigracji, był
już znanym uczonym, autorem „Histo-
ryki” pierwszego w Polsce podręcz-
nika metodologii historii, również pierw-
szej monografii komparatystycznej pt.
„Historyczna paralela Hiszpanii z Pol-
ską”. Sławę i popularność przyniósł
mu kilkakrotnie wznawiany podręcz-
nik pt. „Dzieje Polski potoczny m-
sobem opowiedziane”, na której to
książce wykształciło się i wychowało
w duchu miłości ojczyzny wiele poka-
leń polskich. Na emigracji, odcięty od
swego warsztatu badawczego, poświę-
cił się zrazu prekursorskim w nauce
europejskiej badaniom nad geografią
historyczną i numizmatyką, publikując
na ten temat w języku francuskim
fundamentalne dzieła. Wrócił też do
prac nad dziejami ojczystymi, które
jak dwutomowa „Histoire de Pologne”
miały informować czytelników euro-
pejskich o losach Polski, lub też jak
„Polska odradzająca się” podtrzymy-
wał na duchu emigrantów i rodaków
w kraju.

Dzięki zakomitej znajomości źródeł i ich
wnikliwej krytyce Lelewel był pierwszym
historykiem, który badając najdawniejsze
dzieje Polski, oczyścił je z legend, baśni i
mitów. Dla zrozumienia polskiego procesu
dziejowego wprowadził trafną periodyzację,
wyróżniając okresy: pierwotnego gmin-
władztwa ludowego, samowładztwa (880-
1138), możnowładztwa (1138-1374), gmin-
władztwa szlacheckiego (1374-1697) oraz za-
władztwa, czyli rządów oligarchii magnackiej,
który przyniósł Polsce upadek. Peri-
odyzacja lelewelowska jest w wielu punktach
zbieżną z tą, którą przyjmuje współczesna
nauka historyczna.

Lelewel, wychodząc z romantycznej teorii
niezmiennego „ducha narodu”, widział w
polskim procesie dziejowym walkę przeciw-
stawnych sobie idei, zasad, żywiołów. Za-
sadniczymi były jego zdaniem te, które wy-
wodziły się z ducha słowiańskiego i narodo-
wego. Były to dążenia demokratyczne i re-
publikańskie ludu, jego przywiązanie do wol-
ności, niepodległości, gminowładztwa i roln-
stwa. Pod pojęciem ludu czy też narodu

rozumiał Lelewel zarówno chłopów, których
dzieje przedstawił w głębokim dziele pt.
„Stracone obywatelstwo stanu kmięcego”,
jak i mieszczan, a także masy szlacheckie,
tj. szlachtę średnią i drobną. Pierwsiakom
rodziny, których nosicielami był lud, prze-
ciwstawiał pierwsiakom obce, przeniesione do
Polski z zachodu. Były nimi tendencje mo-
narchiczne, arystokratyczne i feudalne, idea-
lizując demokrację szlachecką, winną za upa-
dek Polski obciążając Lelewela magnaterie i je-
zuitów. Na gruncie nauki historycznej ro-
mantyczne koncepcje Lelewela współbrzmia-
ły z mesjanizmem narodowych wieszczów,
tworząc kanon ówczesnego polskiego patrio-
tyzmu; ukształtował on młode pokolenie,
które w styczniu 1863 r. pochwyciło znowu
za brzoń.

Dorobek naukowy Lelewela był o-
gromny, napisał on kilkaset prac his-
torycznych. Tylko niektóre z nich, ze-
brane w zbiorze pism Lelewela pt.
„Polska, dzieje i rzezy jej”, wypelni-
ły 20 tomów. Z współczesnych mu his-
toryków europejskich jedynie Leopold
von Ranke przewyższył go osiągnięciami,
ale historyk niemiecki, profesor
uniwersytetu berlińskiego, pracował w
porównaniu z Lelewelem w cieplarni-
nianych warunkach.

Po klęsce Wiosny Ludów Lelewel
wycofał się z czynnej działalności po-
litycznej. Śledził jednak nadal
wydarzenia w kraju. Kiedy konser-
watywna „Gazeta Warszawska”
zaatakowała burżuazję żydow-
ską, Lelewel w broszurze pt.
„Sprawa żydowska”, opowiedział się za
asymilacją Żydów polskich, wskazy-
wał na konieczność dobrej woli w
tych trudnych kwestiach zarówno ze
strony Żydów, jak i Polaków. Prze-
wieziony, mimo oporów ze swej stro-
ny, przez przyjaciół do Paryża, śmier-
telnie już chory Lelewel zmarł w jed-
nej z paryskich klinik, 29 maja 1861 r.
Dwutysięczny kondukt odprowadził
trumnę ze zwłokami historyka na
cmentarz Montmartre. Nad grobem
przemówienia wygłosili: uczony eko-
nomista Ludwik Wołowski, członek In-
stitutu Paryskiego, blacharz paryski
Cabaud i rabin portugalski Astruc.
Desygnowani przez obóz polskiej de-
mokracji mówcy mieli symbolizować
trzy najistotniejsze dla Lelewela spra-
wy: naukę, pracę oraz równoupraw-
nienie klas i wyznań. Z symboliki tej
niecała emigracja była zadowolona.
„Nad grobem nawet nikt nie przemówił
po polsku” — pisał z wyrzutem
Jan Nepomucen Janowski.

Po upadku powstania styczniowego
nastąpił odwrót od tradycji lelewelowskiej.
Jego koncepcje zaatakowała kra-
kowska szkoła historyczna. Michał Bo-
brzyński, zwolennik silnej władzy pań-
stwowej, stwierdził, iż lelewelowska
idea gminowładztwa „stała ponad po-
trzebę rządu, ponad prawdziwym inte-
resem narodu państwa”. Wizja le-
lewelowska odżyła w pełni w okresie
rozbudzonych przed pierwszą wojną
światową polskich dążeń niepodległoś-
ciowych. Pokolenie, które uczestniczyło
w odzyskaniu niepodległości, uczyniło
Lelewela jednym ze swych patronów.
W 1929 r. prochy historyka zostały u-
roczystie przeniesione z Paryża na
cmentarz na Rossie w Wilnie.

Wkład Lelewela w rozwój polskiej
nauki historycznej doceniło współcze-
sne dziejopisarstwo. Ukazały się książ-
ki o Lelewelu pióra profesorów, Ma-
riana Henryka Serejskiego, Stefana
Kieniewicz i Heleny Więtkowskiej. O-
publikowano listy Lelewela i pierwsze
tomy zbiorowego wydania jego dzieł.
Ich edycja została jednak przerwana
w roku 1969. Czeka też wciąż Lelewel
na całościową i pełną biografie oma-
wiającej jego życie, działalność poli-
tyczną i dorobek naukowy. Z długu
tego współczesna historiografia polska
powinna się jak najpilniej wywiązać.
Wszak w gronie dziejopisów polskich
właśnie Lelewel obok Długosza zajął
najwyższe miejsce w Panteonie naro-
dowej pamięci.

Rozmowa z dyrektorem Wydawnictwa Lubelskiego - Ireneuszem Cabanem

— Autorzy ciągle podnoszą sprawę piętrzących się trudności z wydawaniem książek, słyszy się wciąż o braku „mocy przerobowych” w drukarniach, o niedostatecznej ilości papieru, o wydłużających się w nieskończoność terminach wydawniczych. Jak wyglądają te sprawy „z podwórka” Wydawnictwa Lubelskiego? Jak zakończyliście rok 1985 i z czym wchodzić w 1986?

— No cóż, można by powiedzieć, że ubiegły rok zakończyliśmy dwójako: i bardzo dobrze, i zarazem gorzej niż w latach poprzednich. Dobrze — bo w 1985 r. wydaliśmy książki w około pięciu milionach egzemplarzy, to znaczy najwięcej w historii naszego wydawnictwa, o 46 proc. więcej niż w roku 1984 (dodam, że jeszcze przed kilku laty marzyliśmy o osiągnięciu jednego miliona egzemplarzy wydanych w ciągu roku). Ale inaczej wyglądać będą osiągnięcia ubiegłoroczne, jeżeli spojrzymy na nie pod kątem liczby wydanych tytułów. Bo tych wydaliśmy 52. To znaczy mniej niż w latach poprzednich. Ogólny wysoki nakład zawdzięczamy książkom dla dzieci...

— Ale jawi się też problem tzw. „książek niskonakładowych”; przede wszystkim kosztownych w druku i skomplikowanych w produkcji pozycji naukowych.

— Tak. To bardzo poważne zagadnienie. W końcu do czego dojdziemy, jeśli w rozwijającym się kraju, przy postępującej wciąż naprzód nauce, będziemy mieli wciąż i wciąż mniej możliwości wydawania właśnie naukowych dzieł, warunkujących dalszy rozwój nauki? Sytuacja w tym względzie jest ciężka w całym kraju, a my tutaj, jako Wydawnictwo Lubelskie, zostaliśmy z tym problemem zupełnie sami, bez żadnego wsparcia. Nie mamy możliwości druku takich książek i każdy dzień przynosi coraz gorszą sytuację. Od kilku lat leżą u nas maszynopisy książek, opracowane edytorsko i całkowicie gotowe do druku, ale, niestety, nie mogące wejść w ostateczne stadium realizacji. Próbowaliśmy nawet nawiązać jakieś porozumienie z drukarnią Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie, ale UMCS stwierdził, że on także nie posiada możliwości (to znaczy „mocy produkcyjnych”) druku tych książek. Dziwne: chodzi przecież tutaj — w przeważającej części — o dzieła naukowców właśnie z UMCS! Musieliśmy w ostatnich czasach zrezygnować m.in. z druku „Lubelskiego Rocznika Pedagogicznego”, z „Rocz-

nika Polonijnego”, z kontynuacji „Regionu Lubelskiego”... Tylko dlatego, że nie mamy gdzie ich drukować. Ale, jak już powiedziałem, sprawa książki naukowej to nie tylko problem lubelski, to problem ogólnopolski!

— Wróćmy zatem do tego, co możecie wydać w roku 1986.

— Planujemy wydanie około 60 tytułów. W tym 30 ubiegłorocznych, z „poślizgu”. Ale trzeba podkreślić, że każda z tych książek zapowiada się jako pozycja do wysokiego notowania na rynku wydawniczym. Już kilka tygodni temu pojawiło się na półkach księgarskich obszerne dzieło Jerzego Łojki „Geneza i obalenie Konstytucji 3 maja”, do druku podpisana jest książka Władysława Góry „Polska Rzeczpospolita Ludowa”, wznawiamy (jest to właściwie nowe zupełnie opracowanie) poszukiwaną pozycję pt. „Działania wojenne na Lubelszczyźnie w 1939 r.” Ludwika Głowackiego. Szeroką dyskusję powinna wywołać książka prof. Zygmunta Mańkowskiego: „W kręgu polskich doświadczeń historycznych”. Po prawie dwudziestoletniej nieobecności na rynku ukaże się bardzo poszukiwana książka Jerzego Markiewicza — „Paprocie zakwitły krwią partyzantów” z „lublinianów” wydajemy „Szkoły im. A. i J. Vetterów w Lublinie” Karola Poznańskiego oraz wznawiamy „W dawnym Lublinie” Henryka Gawareckiego.

— Co z „serią wspomnieniową” ludzi nauki?

— Przygotowana jest m.in. książka prof. Andrzeja Burdy „Przymrozki i odwilże” (część I, do 1956 r.), wydamy książki wspomnieniowe prof. Mariana Tyrowicza i prof. Michała Strzemskiego.

— Ale widzę w planie wydawniczym także pozycje naukowe.

— Tak będą to książki Ludwika Flecka, Narcyza Lubnickiego, Bożeny Kowalowej. Wreszcie książki popularnonaukowe i literatura piękna: Kazimierz Dymel — „Skąd ten blask, profesorze Sedlak?”, „Obietnice parapsychologii” Zygmunta Pikulskiego...

— A co z lubelskimi literatami?

— Ukażą się książki Tadeusza Jasińskiego, Adolfa Lekkiego, Marii Józefackiej, Jana Longina Okonia; większość — o tematyce młodzieżowej.

— A jeśli chodzi o literaturę bardziej poważną?

— Między innymi Sienkiewicz, Kraszewski i Prus.

Rozmawiał: M. D.

Polska na przełomie

1788 - 1792

OD TAMTYCH czterech doniosłych, brzemiennych w wydarzenia lat minie wnet dwa stulecia: w 1988 r. obchodzić będziemy 200 rocznicę zwołania i inauguracji obrad Sejmu, zwanego Wielkim lub Czteroletnim, zaś w 1991 r. upłynie dwa wieki od uchwalenia przez tenże Sejm Konstytucji 3 maja.

Z uznaniem należy więc powitać opublikowanie przez Wydawnictwo Lubelskie ważnej w zamyśle, a merytorycznie bogatej i cennej książki Jerzego Łojki — „Geneza i obalenie Konstytucji 3 maja. Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej 1787—1792”. Praca Łojki nie jest systematycznym wykładem dzieł Sejmu Czteroletniego (1788—1792) ani też historią Polski tego czasu. Autor pragnie przede wszystkim dociec, jak doszło do uchwalenia Konstytucji 3 maja i co spowodowało jej upadek. A więc pokazuje wpływ sytuacji międzynarodowej na przygotowanie i ogłoszenie Ustawy Rządowej 3 maja 1791 r., stosunek do tej Ustawy trzech dworów sąsiednich — pruskiego, austriackiego i rosyjskiego, politykę

polską wobec Rosji po uchwaleniu Konstytucji 3 maja, rozwój poglądów na sprawę polską w Petersburgu między 3 maja 1791 a 23 lipca 1792 r., wreszcie wojnę w obronie dzieła Sejmu Czteroletniego, jaką stoczyła Rzeczpospolita w 1792 r. Prace kończy omówienie motywów kapitulacji króla Stanisława Augusta Poniatowskiego oraz stosunku do tej kapitulacji społeczności Warszawy i armii.

Książka Łojki napisana jest prosto i żarliwie. Przypomina najlepsze tradycje polskiego piśmiennictwa historycznego — Ludwika Kubali, Tadeusza Korzona, Szymona Askenazego, Władysława Czaplińskiego. Łojek przy najgłębszym emocjonalnym zaangażowaniu w narodową przeszłość jest najdalszy od jej mitologizowania. Umie się uwolnić od nacisku hagiografii, zachowując zawsze własny, niezależny sąd. Autor nie chce być sędzią historii, widzi się jako uczciwy świadek, którego obowiązkiem jest przekazać wiedzę wynikającą z badań.

Łojek wykazał, że dotychczasowa historiografia sporo spraw ujmuje w sposób przesadnie uproszczony, zwłaszcza kwestię stanowiska w latach 1791—1792 środowisk politycznych w Rosji w sprawie Ustawy Rządowej, które to stanowisko nie było

wcale jednolite, lecz istniały ówczesnie w Petersburgu poglądy, iż Konstytucję 3 maja można by uznać przy powrocie Polski do współpracy sojuszniczej z Rosją. Dotyczy to także oceny króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, jako polityka i męża stanu, którego wielu historyków, głównie powojennych, ocenia pozytywnie, tworząc wręcz legendę doskonałości polityki wewnętrznej i zagranicznej króla, zwłaszcza w okresie Sejmu Wielkiego. Recenzowana książka politykę monarchy po dniu 3 maja 1791 r. przedstawia krytycznie i ujawnia znaczne rozbieżności między stanowiskiem Stanisława Augusta i jego najbliższych współpracowników a stanowiskiem czołowych przywódców stronnictwa patriotycznego, przede wszystkim w kwestii polityki obronnej w 1792 r. Zresztą i ogólna ocena postaci ostatniego króla Rzeczypospolitej jest negatywna: nie potrafił udźwignąć ciężaru władzy.

Za lekcję świeżego spojrzenia powinniśmy być Łojkowi wdzięczni, nawet jeżeli niektóre jego sądy zostaną zweryfikowane przez przyszłe badania. Praca Łojki na temat tak fundamentalny dla politycznych dzieł Polski w epoce rozbiorów, wydana starannie i pięknie przez Wydawnictwo Lubelskie, na pewno spotka się z szerokim zainteresowaniem czytelników i żywym rezonansem w kołach zawodowych historyków.

Adam Andrzej Witusik

Jerzy Łojek, Geneza i obalenie Konstytucji 3 maja. Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej 1787—1792; Lublin, 1988, s. 360, nakład 60 000 egz., cena 700 zł.

Kosmonauta uczyłowieczony

O „CZUŁYCH SŁÓWKACH” zwykło się u nas dotąd pisać (film był prezentowany podczas ubiegłorocznych „Konfrontacji”) jako o komedii obyczajowej — nie pozbawionej elementów tragizmu — ukazującej złożone relacje między matką (kochającą w sposób zaborczy swe dziecko, które wychowała samotnie po wczesnej śmierci męża) a córką (dążącą do wyzwolenia się spod dominacji i czulej zabobrości matki). Więcej — matka i córka to dwa różne zupełnie charaktery, dwie odmienne postawy życiowe. Matka jest produktem amerykańskiego, dość zasobnego mieszczaństwa (stać ją nawet na „własnego” Cezanne’a, zaspokajającego jej snobistyczne aspiracje), córka to przedstawicielka współczesnej „zbuntowanej” młodzieży, przedkładająca „intelekt” nad dobra materialne. Dlatego bez wahania wychodzi za mąż za swego szkolnego kolegę, przed którym rysuje się obiecująca kariera naukowca — humanisty. Wynosi się z domu, w odległym uniwersyteckim mieście rodzi młodemu mężowi — intelektualistce kolejne dzieci, przemęcza się prowadząc bez niczyjej pomocy cały dom, bieduje, a wreszcie zapada na ciężką, nieuleczalną chorobę. W dodatku mąż zaczyna coraz chętniej spoglądać na inne kobiety...

Traciłoby to wszystko dość szwajcarskim melodramatem, gdyby nie umiejętnie wmontowana w taką narrację przez reżysera warstwa psychologiczna: ukazanie w przekonujący sposób głębokich więzi uczuciowych łączących mimo wszystko matkę i córkę.

Ale oto w miarę rozwoju akcji „Czule słówek” zaczyna rozbudowywać się drugi wątek, przenosząc relacje między matką i córką na jakby trochę dalszy plan. Samotnie żyjąca w swym zasobnym domu kobieta, wciąż atrakcyjna, choć zbliżająca się już do pięćdziesiątki, zaczyna zauważać obecność również samotnego sąsiada, właściciela eleganckiego domu położonego obok. Ten człowiek to słynny kosmonauta. Jeden z tych, którzy „przezierali podniebne szlaki”, a potem postawili stopę na Księżycu. Ale cóż za rozczarowanie! Przy bliższym poznaniu „bohater kosmosu” jawi się oczom zainteresowanej nim kobiety jako... birbant i babilarz, zakłócający spokój całej szacownej dzielnicy pijackimi śpiewkami i podhukiwaniem z panienkami, które przywozi do domu z wielkoświatowych libacji swym eleganckim sportowym samochodem.

I to jest właśnie moment, kiedy zaczyna się na ekranie prawdziwa akcja i także prawdziwy koncert gry aktorskiej w wykonaniu Shirley McLaine i Jacka Nicholsona! Jest wielką przyjemnością dla każdego, kto obserwuje od szeregu lat rozwój ich artystycznych osobowości i narastającą pojemność aktorskiego emplot, widzieć obok siebie tych dwoje tak bardzo odmiennych, wywodzących się z zupełnie różnych szkół i właściwie także różnych epok amerykańskiego kina, artystów — tak doskonale zrównanych, tak nasujących do siebie na planie „Czule słówek”...

Shirley McLaine święciła triumfy na ekranie w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych, kiedy to wylansowała typ „żywej jak iskra” rozbrajająco mądrej, przyjacielskiej dziewczyny ze sfer średnich. Grywała chętnie sekretarki, maszynistki, ekspedientki, dziewczyny z prowincji, przybyłe do wielkiego miasta i znoszące swój często nieszczęśliwy los z humorem i wyrozumiałością wobec świata i ludzi.

Trzy lata od niej młodszy, urodzony w 1937 r., Jack Nicholson był natomiast jednym z tych młodych aktorów, którzy wraz z określoną grupą reżyserów młodszego pokolenia wyznaczyli zupełnie nowe drogi amerykańskiego kina walczącego o nowe środki wyrazu, a przede wszystkim o prawdziwe ukazanie „stanu umysłów” młodych obywateli Stanów Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych. Z biegiem czasu Nicholson zaczął kroować przez siebie postacie coraz bardziej rozbudowywać w głąb, nasycać swoistym humorem, doprawiać szczyptą autoironii lub sarkazmu. Grał w dził skłóconych z życiem z otaczającą rzeczywistością, ale często przy tym nie pozbawionych cech zabawnych czy wręcz śmiesznych. I przez to bardziej prawdziwych.

Tak jest i w przypadku „Czule słówek”. „Bohaterki” kosmonauta, „superczłowiek”, który stanął na Księżycu, jawi się w interpretacji Jacka Nicholsona jako osoba w istocie zmęczona i sfrustrowana faktem zobaczenia i przeżycia zbyt wiele, spojrzenia na świat ze zbyt odległej, „kosmicznej” perspektywy. Jako osoba w jakiś sposób wyalienowana ze społeczeństwa, która swoje niepokoje, swe wyobcowanie usiłuje zagłuszyć niekonwencjonalnym sposobem życia. Może dlatego właśnie coś go tak nieodparcie pociąga w stronę tej trochę śmiesznej w swej konwencjonalności, ale niewzruszenie wierzącej w sens świata, kobiety z sąsiedztwa Kobiety, która przecież nosi w sobie de facto duszę zupełnie innego człowieka, tylko przytłumioną, stłamszoną przez konwencjonalizm warstwy społecznej, w której się urodziła. Wyzwolenie tego innego człowieka, wydobywanie go na światło dzienne jest może w sumie bardziej pociągające niż odkrywanie nowych, pozaziemskich światów...

Może także z „Czule słówek” Brooks należałoby wyciągnąć wrażenie, że niekoniecznie i nie zawsze, tylko bunt i młodość liczą się w...?

M. D.

Opera za dwa grosze

TERAZ już nikt nie rozumie nawet, że w teatrze trzeba myśleć! Mogłoby właściwie to zdanie Brechta stanowić najkrótszą i może najtrafniejszą recenzję z przedstawienia „Opery za trzy grosze” w Teatrze im. Osterwy. I to nawet nie tyle recenzję samego spektaklu, co przede wszystkim jego widowni. Brecht sądził, że teatr musi pobudzać do myślenia. Zależało mu na chwilach refleksji u widza, czemu miały sprzyjać formy zapoczątkowanego przezeń teatru epickiego. Brecht chciał, żeby sztuki przemaływały do widza nie tylko swoją akcją, fabułą, doświadczeniem w końcu uchwytą. Fabuła powinna wywoływać w widzu proces metaforyzacji, pobudzać do konfrontowania jego własnych przeżyć z tym, co dzieje się na scenie.

W teatrze epickim co przypomnieć może wartość, aktorzy nie odtwarzają przedstawianych postaci, ale raczej opowiadają o nich, stąd songi, które wyłączają ich z akcji, pozwalają zwracać się wprost do widowni. Bohaterowie dramatu stają się tylko pewnym modelem zachowań, postępowania. Zadania aktorskie podsumowuje teoria gry z dystansem. W owym pokazywaniu, granu z dystansem osiągnęto często w teatrze rekordy dyktantyzmu i nonsensu. W przedstawieniu, o którym mowa, zdarza się to również.

Stale elementy charakterystyczne dla teatru epickiego stanowią napisy, tytuły kolejnych obrazów, bądź informacje o nich, songi i inne bezpośrednie zwroty do widzów, jawne całkowicie lub częściowo zmiany dekoracji. Teatr epicki jest teatrem relacjonującym, opisowym, posługuje się komentarzem, stanowi przeciwieństwo teatru iluzjonistycznego. Stąd wymaga nie emocjonalnej, ale intelektualnej reakcji widowni.

Przywołuje te podstawowe cechy teatru epickiego nie bez powodu. Reżyser lubelskiej „Opery za trzy grosze” wykorzystuje tylko niektóre, rzecz by można, „wizualne” elementy z poetyki teatru epickiego. Nie jest przecie rzeczą naganną omijanie

stylu Brechtowskiego teatru przy realizacji dramatów Brechta. Formy inscenizacyjne starzeją się szybciej niż dramaty. Musi być jednak zachowana jakaś konsekwencja i logika w wyborze stosowaniu bądź omijaniu teatralnego stylu poetyki.

Są więc w przedstawieniu Andrzeja Rozhina napisy, hasła, pojawiają się tytuły kolejnych obrazów, napisy objaśniające kolejne songi tabliczki zawieszane na szyjach żebraków opowiadające o ich krzywdzie. Jest szaro-biała kurtyna z napisem: „Opera za 3 grosze”, trzy mikrofony. A więc myśleć by można, iż to Brechtowskie „efekty wyobcowania”. Tylko, że owe „efekty” nie budują spójności intelektualnych, podobnie jak i songi, będące nie tyle komentarzem do przedstawienia, co po prostu jego częścią.

Montaż kolejnych obrazów i scen, połączony ze zmianami dekoracji, każdorazowo odbywa się przy pomocy kurtyny która na przestrzeni ponad trzygodzinnego przedstawienia zapada chyba kilkanaście razy i po kilka minut każe czekać widzowi na dalszą część przedstawienia. Może miał to być ten czas pozostawiony widzowi na myślenie. Ale to przecie za mało, żeby mogło zdarzyć się w tym przedstawieniu, to czego Brecht żądał i oczekiwał od widzów: by w swoim życiu znajdowali te same tendencje nie do pogodzenia, wątpliwości, konflikty, taki dramat, jak w teatrze.

Nie mogło tak się zdarzyć, ponieważ w tym przedstawieniu nie ma żadnego dramatu, żadnych konfliktów, trudno doszukać się owych zasadniczych wątpliwości na temat wiedzy, co jest dobre a co złe. Nie zaistniała w spektaklu nawet postać Mackie Majchra Józefa Onyszkiewicza w tej roli nie daje niczego z postaci króla bandytów o urodzieliwym wyglądzie i manierach „dżentelmena”. Istnieje specyficzny szyk w świecie przestępczym, znamionujący się tandetną elegancją, jaskrawa, taniutka, napuszczona wytwornością w stroju, sposobie bycia i, oczywiście, w języku. W roli Józefa Onyszkiewicza nie sposób odnaleźć tych cech wiel-

kiego bandyty, ani też tego, o co, zdaje się, chodziło Brechtowi — wielkiego miśszczucha o wyrazach miśszczuchowskich podobnych nawykach i po miśszczuchowsku odgrywanego rolę bandyty. Mackie Majcher Onyszkiewicza to tylko drobny spryciarz, uwikłany w drobne interesy.

Stąd od początku wiadomo że jest to przedstawienie o Peachumie właścicielu firmy „Przymociel żebraka”. Peachum grany przez Piotra Wysockiego nie sięga wprawdzie do wyobrażeń takie możemy wynieść o tej postaci z lektury dramatu ale jest to istotnie najlepsza rola w tym przedstawieniu. I również postać Jenny grana przez Annę Świetlicką. Świetlicka to zresztą jedyna aktorka w tym przedstawieniu która potrafi śpiewać choć inni aktorzy „śpiewają” także nie bacząc na efekt.

Przedstawienie Andrzeja Rozhina opowiada właściwie o przedmieściu Soho w Londynie pełnym żebraków, bandytów, prostytutek gdzie ktoś kradnie, ktoś kocha, ktoś nienawidzi. Gdzie stale panuje zgłębienie małych interesów drobne konflikty, nerwowość. Pozostaje z tego spektaklu w pamięci jedynie parę powiedzonek, które dawno weszły już do potocznego języka: „Tylko w dobrobycie przyjemne jest życie”, „Daj a będzie ci dane”. Wpiewanie, potem moralność. Poza tym dowiadujemy się, że złodzieje i prostytutki to ludzie najłatwiej wciągnąć do wyrażania protestu społecznego. Zresztą może Brechtowi naprawdę o to chodziło? Wspominając swoje spotkania z Brechtem, pisze Erwin Axer w jednym z felietonów z „Cwiczeń pamięci”: „był sentymentalny dlatego niemiłosiernie tepił wszelki sentymentalizm. (...) songi i niektóre liryki pozwalała się domyślać, że w gruncie rzeczy wielbił gangsterów bohaterskie prostytutki i korsarzy”.

Lidia Wójcik

PS.

1. W czasie premierowego przedstawienia część widzów po I akcie chyłkiem przemykała do szatni. Nie wiadomo tylko czy zgorzona samym tekstem (w nowym przekładzie Roberta Stillera), czy też znudzona tym, co działo się na scenie.

2. Istnieje w tym przedstawieniu jeszcze druga obsada, gdzie rolę Mackie Majchra gra Włodzimierz Matuszak. Nie starczyło mi jednak ani ochoty, ani cierpliwości, by po raz drugi obejrzeć to przedstawienie.

3. Wszystko, co zostało napisane wyżej, jest to opinia o przedstawieniu według „kodeksu” dla zawodowego teatru i dla aktorów. Stąd nie ma tu zastrzeżeń: „jak na takie trudności”, „jak na taki zespół” itp. — jakie zwykle stosuje wobec amatorów.

Informacje te podaję w związku z niedawnymi faktami objaśniania w lubelskiej prasie codziennej porażek artystycznych Teatru im. Osterwy rozmaitymi „trudnościami obiektywnymi”.

L. W.

Ze Stanisławem Góreckim o rysunku

— Pięć dużych rysunków na lutową wystawę indywidualną w lubelskim BWA, która ogółem zawierała ponad 220 prac, wykonał pan w siedemnaście godzin, za jednym zamachem. Zazwyczaj śleczy pan nad papierem nocami, pokrywając powierzchnię tysiącami punktów, linii, kresek, by z tej zwirowanej materii budować walorowe struktury, cięte szczelinami jaskrawej bieli. Ile to tym udręki, a ile radości?

— Ja chyba nie nadaję się do czegoś innego poza rysowaniem, więc trudno mi odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Rysuję i już. Bardzo rzadko biorę pędzel do ręki, czy „mianuję” rzeźbą jakiś ładny, przypadkowo znaleziony kamień.

— Dysponuje pan świetnym warsztatem, zatem, można sądzić, że bardzo troszczy się pan o dobór narzędzi i materiałów.

— Posługuję się długopisem, piórką, ołówkiem 3B, ostatnio także zwykłą kredką woskową, używaną przez dzieci w szkołach. Rysuję na kredzie, brystolu, bibulce japońskiej (stosowanej zazwyczaj do odbijania linorytów), na bibulce filtracyjnej (zwanej chemikiem), w końcu na papierze akwafortowym, wykorzystywanym zwykle w graficznych technikach metalowych. Trudno zatem powiedzieć, że metodycznie, zgodnie z jakąś nadrzędną ideą kreacji dobieram sobie narzędzia i materiały. Zresztą rysunek to sztuka demokratyczna i naprawdę wolna. Bywa, że już po rozpoczęciu pracy wymieniam papier na inny.

— Dlaczego? Nie szkoda zachodu?

— Dlatego, że właśnie zmienił mi się nastrój.

— Jeśli była już mowa o nastrojach, to zapewne będzie o natchnieniu?

— W żadnym razie. Nie wierzę w iluminacje, a więc w takie szczególne stany ducha, które co pewien czas, raczej rzadko, otwierają ponoć artystę na prawdę i piękno. Utożsamiam twórczość z intensywną, rzetelną, bezinteresowną pracą, nastawioną na wykonanie dobrego produktu. Inaczej mówiąc: sztuka istnieje poza kuratela bogów, jest sprawą zwykłych ludzi, którzy posiadają chęć do pracy.

Będąc adiunktem w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS, wpajam to przekonanie swoim studentom, choć z drugiej strony rozumiem skłonność młodzieży do wypraw w wysokie rejony przeróżnych mitologii, które mnożą się zresztą w warunkach zgola niehygienicznych. Powtarzam: nie celebруйте samych metod czy technik zapisu i przekazu, klucze do autentycznej sztuki nie tkwią w komputerach sprzężonych z wideo, lecz w waszych indywidualnych i społecznych biografiiach, w naszym ludzkim doświadczeniu, w intuicji i samowiedzy.

— Czy już przed przystąpieniem do pracy posiada pan pomysł na rysunek?

— Nie. Niczego nie planuję, nie koncepcuję, nie reżyseruję. Rozkładam czy zawieszam papier, znaczę pierwsze kreski, a miejsce i forma tej inicjacji decydują o dalszych pociągnięciach, aż do ukończenia kompozycji. Nie towarzyszą mi też żadne intencje tematyczne. Moje rysunki są po prostu reakcją na pragnienie rysowania, które z kolei ma charakter wręcz biologicznego imperatywu. Nie wierzę artystom, którzy z góry wyznaczają sobie cele wielkie. Sztukę traktuję jak codzienne spożywanie posiłków, jak integralny element codziennej egzystencji. Bywa, że nie mogę zasnąć, więc siadam do rysowania, z czasem odczuwam zmęczenie, wreszcie zasypiam, a po przebudzeniu kontynuuję pracę.

— Ale przecież spod pańskiej dłoni wychodzą dzieła wykonane w każdym calu, wewnętrznie zorganizowane!

— No bo widzi pan, tak się składa, że oprócz ochoty i intuicji mam jeszcze wiedzę, która nie pozwala mi sprzeniewierzyć się zasadom dobrej roboty plastycznej.

— Uczestniczy pan w poważnych imprezach ogólnopolskich i międzynarodowych, pokazuje swój dorobek w ramach ekspozycji indywidualnych: w Polsce, RFN, Francji. Pańskie prace znajdują się w słynnym Folkwang Museum w Essen i w kilku instytucjach krajowych. Cztery dzieła zreproduковано w cenionym albumie „Współczesny ry-

sunek polski”, osiem — w bibliofilskim wydaniu „Trendów” Jana Kochanowskiego, przygotowanym ostatnio przez lubelską KAW. Ale czy istniejąc w świecie sztuki, w ruchu artystycznym, jest pan jednocześnie obecny wśród ludzi, w ich prywatnych mieszkaniach?

— W ciągu dwunastu lat, jakie dziełką mnie od ukończenia studiów w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, sprzedałem prywatnie w Polsce tylko cztery prace: pewnemu lekarzowi z Lublina, który jest kolekcjonerem con amore, posiada między innymi malarstwo Jana Popka i Konrada Szurowskiego. No cóż, nie zabiegam o klientów, nie wystawiam w „Desie” czy w podobnych galeriach handlowych, nie usiłuję haftować wokół siebie artystowskiej legendy, która zamienia twórczość takiego upersonifikowanego mitu w chodliwy fetysz masowej wyobraźni. Poza tym moje rysunki są w istocie abstrakcyjne, tylko sporadycznie pojawiają się w nich pewne aluzje przedmiotowe, choćby zarzysy głów ludzkich. Tymczasem na krajowym rynku sztuki bardziej cenią się rzeczy przedstawiające coś konkretnego, realistycznego lub utrzymanego w spopularyzowanej już konwencji kolorystycznej.

— Zgoda, ale pańskie rysunki wręcz olśniewają wizualną urodą, są dynamiczne i jakby podporządkowane regułom dramaturgii teatralnej. W tych kompozycjach coś się dzieje, one rosną z sobą niczym żywe organizmy. Wydaje mi się, że takie prace powinny wabić nawet osoby, które tylko okazjonalnie kontaktują się ze sztuką.

— Możliwe... Ale proszę pozwolić, że dokończę ten wątek: otóż moje rysunki znajdują prywatnego nabywcę — za granicą.

— Ciekawość, bo przecież w RFN, przykładowo, największym wzięciem szerokiej klienteli cieszy się tak zwany realizm fantastyki, coś w rodzaju naszego malarstwa metaforycznego. Lubią tam też pejzaże, kotki i pieski, kwiatki, czyli to, co i w Polsce budzi emocje.

— Ale w środowiskach protestanckich szanuje się ponadto pracę, a moje rysunki unaczyniają między inny-



Fot. Andrzej Polakowski

mi trud, jaki autor włożył w ich wykonanie. Właśnie w RFN nieustannie musiałem odpowiadać na pytania dotyczące spraw warsztatowych. Z góry przy tym zakładano, że do rysowania używam narzędzi japońskich, bo i tam, jak na całym świecie, bardzo cenią się wyroby made in Japan. Kiedy wyjaśniałem, że stosuję polskie długopisy, nie chcieli wierzyć. Myślałem, że gdybym miał z sobą kilkadziesiąt takich naszych wkładów, po kilka złotych jeden, sprzedałbym je na pniu, po jakieś 10—20 marek sztuka!

— A ja myślę, że w naszej rozmowie przeoczyliśmy coś, co stanowi o wysokim poziomie twórczości Góreckiego: pański talent, po prostu talent.

— Wstępując ewentualnie do piekła zobaczy pan, że jest ono wybrukowane samymi talentami. Którym nie chciało się popracować. To takie leniwe talenty, mniej przydatne niż leniwe pierogi.

— Dziękuję, jak ustąpię, dam znać. O północy.

Rozmawiał: I. J. Kamiński

„Szaruga” a ZAP

Dokończenie ze str. 3

plom inżyniera dróg i mostów. Pracuje jako asystent na Politechnice Warszawskiej i na stanowisku starszego asystenta w Drogowym Instytucie Budownictwa przy uczelni.

Te liczne zajęcia nie zmniejszają jego ożarowania harcerstwem, które trwa po dzień dzisiejszy. Nadal Aleksander jest aktywnym członkiem ZHP. Słub bierze z koleżanką szkolną, harcerką Krysztyną Rokicką. Jego wiedza o harcerstwie jest duża. Zna nie tylko historię skautingu w świecie i harcerstwa polskiego czy też dzieje 6-go Harcerskiego Pułku Piechoty, ale także wiele dróg harcerskich takich działaczy, jak Andrzej Małkowski czy też Józef Grzesiak, zwany Czarnym — założyciel Czarnej 13-tki Krakowskiej, a następnie sławnej Czarnej 13-tki Wileńskiej.

Zna to środowisko z własnej praktyki i wierzy w jego niezakłamaną patriotyzm. Wie, że nie są to tylko czcze słowa śpiewanej piosenki harcerskiej, że: „Wszystko, co nasze, Polsce oddamy...” i faktycznie oddawali łącznie ze swym życiem, co potwierdzają karty historii II wojny światowej, poczynając od pierwszych dni kampanii wrześniowej po barykady Powstania Warszawskiego. Aleksander Sarkisow miał pełne zaufanie do ludzi ze środowiska harcerskiego, a zwłaszcza do tych, których znał osobiście.

Nie więc dziwnego, że uniknąwszy niewoli, mimo odniesionej kontuzji w kampanii wrześniowej, Aleksander postanowił udać się do Chełma i tam dalej prowadzić walkę z najazdem wrogich wojsk.

Tak jak każdy w tym czasie Polak, wierzy w potęgę aliantów i spodziewa się rychłej i skutecznej ofensywy wojsk sprzymierzonych z terenów Francji. W tym ostatecznym, zdawało się, rychłym rozrachunku nie mogło zabraknąć nas, Polaków. Przecież przegraliśmy tylko kampanię wrześniową, ale nie skapitulowaliśmy, dalej trwa wojna. Dalej żyje w narodzie duch walki, duch oporu i odwetu.

Pragnie więc Aleksander jak najszybciej uformować z harcerzy oddział bojowy, aby na jego czele wziąć udział w tak, wydawało się, bliskiej ostatecznej rozgrywce. Broni przecież nie powinno zabraknąć na pobojuwiskach wrześniowych.

W pierwszej jednak kolejności udaje się Aleksander do Warszawy, po jej kapitulacji, aby zlikwidować swoje mieszkanie. Tutaj przypadkowo nawiązuje kontakt z organizacją Związek Polski Niepodległej (ZPN). Na propozycję współpracy z tą organizacją w dalszej walce wyraża zgodę, jednak z pierwotnych swoich zamiarów nie rezygnuje. Ale dalej niech mówią dokumenty, o których wspominałem.

Pierwszym z nich jest maszynokopia zaświadczenia wydanej przez Dowództwo b. Komendy Głównej Związku Polski Niepodległej dla mgr. inż. Aleksandra Sarkisowa a podpisanego przez płk. w s. spocz. inż. Stanisława Szopińskiego ps. „Abrad”. b. członka KG ZPN i późniejszego komendanta głównego ZPN.

Z dokumentu tego wynika, iż Aleksander Sarkisow, ps. „Andrzej”, „Szaruga”, wstąpił w październiku 1939 r. w szeregi ZPN. Dalej cytuję: „Do sztabu ZPN zaliczony został rozkazem 05 Ldz. 07.39. Or. z dnia 18 października 1939 r. oraz na własną prośbę skierowany do organizowania ruchu oporu na terenie Lubelszczyzny”.

Następnie dokument ten podaje, że: „Rozkazem nr 16 Ldz. 25.39. Or. z dnia 25 listopada 1939 r. mgr. inż. Aleksander Sarkisow, będąc w stopniu porucznika, został mianowany komendantem lubelskiego Okręgu ZPN nr IV...”

Z dokumentu tego wynika, iż na przełomie 1939/1940 r. zorganizowane zostały placówki na terenie Chełma, Lublina, Włodawy, Hańska, Zawadowki i Rejowca. Wśród wielu nazwisk, członków ZPN, dokument ten wymienia także nazwiska jak: por. Paweł Durka, ppor. Telesfor Kujawiński, chor. Zgorzelski z 2 PAC, Bolesław Zimmer, Witold Zimmer, Zenon Marcinkiewicz, Marian Pilarski, Czesław Nowelski, Lech Terpilowski i wielu innych.

Dalej dokument ten podaje, iż: „na terenie powiatu włodawskiego został utworzony IV Rejon ZPN, którego komendantem był Aleksander Zygmunt Honory ps. „Henryk”, „Dąbrowa...” Następnie wymienionych jest osiem placówek w IV Rejonie ZPN z podaniem nazwisk ich d-ców.

W cytowanym na wstępie artykule jest wymienionych wiele nazwisk spośród ww. jako członków ZAP czemu zaorzecha wymieniony przeze mnie dokument.

Drugim dokumentem pozostającym w moim posiadaniu jest maszynokopia referatu wygłoszonego z okazji 60-lecia Gimnazjum im. St. Czarnieckiego w Chełmie przez absolwenta tegoż gimnazjum, mjr. rez. mgr. Aleksandra Honorego i przez niego podpisany.

W referacie tym autor wraca do wspomnień z lat okupacji i czytamy tam m. in., że „W listopadzie 1939 r. po przybyciu do Chełma jakaś była moja radość, gdy zobaczyłem porucznika mgr. inż. Aleksandra Sarkisowa, byłego drużynowego i komendanta Hufca Harcerskiego m. Chełm, na stanowisku dowódcy organizacji ruchu oporu na szczeblu Okręgu...”

I dalej czytamy: „Okazało się, że nasza organizacja nosiła nazwę: Związek Polski Niepodległej...” We wspomnieniu swym A. Honory wymienia szeregi kolegów, jako członków ZPN z tego okresu, których nie przytaczam, gdyż nazwiska ich zostały wymienione w porządnym dokumencie.

Jak z powyższego wynika, „Andrzej”, bo pod takim pseudonimem w tym okresie występował Aleksander Sarkisow, przybył do Chełma już w trzeciej dekadzie października 1939 r. a nie na początku 1940 r., jak podano w cytowanym na wstępie artykule. Jego przyjazd do Chełma nie był także inspirowany przez ZAP, jak w tym artykule podano. Już w listopadzie 1939 r. powierza „Andrzej” organizację placówki ZPN we wsi Hańsk Aleksandrowi Honorowi, ps. „Henryk”. W późniejszym terminie przerosł „Henryka” na stanowisko komendanta IV Rejonu ZPN z zadaniem jego organizacji na terenie powiatu Włodawa. Po odejściu „Henryka” dowództwo nad placówką we wsi Hańsk przejął Kazimierz Leszczyński.

Na terenie Chełma, jako załączek oddziału partyzanckiego, zostaje wydzielona sekcja harcerska dowodzona przez Zbigniewa Stryjewskiego, ps. „Smętny”, do której zadań w tym okresie należało w szczególności zbieranie i zabezpieczanie broni po kampanii wrześniowej.

Szybki wzrost placówek w terenie powodowany był tym, że „Andrzej” zdawał sobie w pełni sprawę z tego, iż w nowych, bo okupacyjnych warunkach oddział bojowy może po terenie poruszać się tylko w oparciu o ludność miejscową, a zwłaszcza w oparciu o zorganizowane placówki, które będą stanowiły jego zaplecze.

Wiosną 1940 r. w Chełmie nastąpiły aresztowania, które objęły także członków ZPN. Nastąpiło bezpośrednie zagrożenie „Andrzeja”, w wyniku czego przenosi się on do Lublina, na swoją placówkę przy ul. Dziesiątej, zorganizowaną i dowodzoną przez ppor. Jerzego Lipniackiego.

Wkrótce jednak przenosi się na placówkę do Motycz, dowodzoną przez ppor. Stanisława Łukasika. Fakt ten nie spowodował, jak podano w cytowanym na wstępie artykule, zerwania kontaktów „Andrzeja” ze strukturą zorganizowaną przez siebie ZPN-u, ani jej rozpadu w Chełmie. Nadal „Andrzej” dowodzi i panuje nad całością organizacji w ramach Okręgu. Do niego to, do Motycza, zgłaszają się zagrożeni aresztowaniem ludzie, jak wspomniany już Zbigniew Stryjewski z Chełma, czy też, zagrożony po aresztowaniu ppor. Jerzego Lipniackiego z placówki lubelskiej, Józef Kasiak, ps. „Gołąb”, „Luśnia”. Zgłaszający się zagrożeni żołnierze znajdują schronienie na tzw. „melinach”, wyznaczonych przez dowódców placówek, w głównej mierze na placówkach w Motycz i w Jastkowie — dowodzonej przez Franciszka Chojaję ps. „Jeleń” Kwaterują w sekcjach po 3—5 osób. Nie zagrożeni aresztowaniem pozostają w domach, a w razie konieczności ściągani są do wykonania określonych zadań, jak np. Gustaw Kiciński, ps. „Rekin”, czy też Zygryd Szydłowski, ps. „Rafał”.

W terenie wykonują powierzone sobie zadania, poruszając się tylko nocami. Całością powstającego oddziału partyzanckiego dowodził bezpośrednio Aleksander Sarkisow, w tym wypadku występując pod pseudonimem „Czarnota”. W dalszej kolejności sekcje były łączone w patrole, a dowodzili nimi między innymi sierż. Stanisław Łukasik, ps. „Ryś”, i Wojciech Rokicki, ps. „Nerwa”. Późniejsi d-cy samodzielnych oddziałów partyzanckich. W przyszłości zdarzały się wypadki, że w celu wzmocnienia jakiegoś oddziału partyzanckiego dla wykonania jego zadania bojowego „Czarnota”, „Szaruga” oddawał na pewien okres czasu któryś ze swoich patroli do dyspozycji tego oddziału, co miało miejsce np. ze „Spartaninem”.

Na przełomie 1940/1941 r., na wiadomość o scalaniu wszystkich organizacji typu wojskowego w szeregach ZWZ, „Andrzej” podporządkowuje swoją organizację Komendzie Okręgu ZWZ-AK-Lublin. Tu otrzymuje stanowisko komendanta I-szego Rejonu ZWZ-AK. Obwód Lublin i jako taki

przybiera pseudonim „Dobrowolski”. Z chwilą przekształcenia oddziału „Czarnoty” w lotny spec. oddział partyzancki przybiera on pseudonim „Szaruga”, pod którym jest powszechnie znany.

Ale to już jest inna historia, nie należąca do okresu początków konspiracji.

„Smętek”, b. żołnierz lotnego spec. oddziału partyzanckiego „Szarugi” Okręgu AK — Lublin, Edward Romuald Bury.

A co pisze Sarkisow?

PAN Edward R. Bury, nawiązując do mojego artykułu o „Żołnierzach Armii Polskiej” („Kamena” nr 22 z 3 XI 1985), kwestionuje związki Aleksandra Sarkisowa, późniejszego „Szarugi”, z tą organizacją konspiracyjną. Autor powołuje się przy tym na długoletnią znajomość z A. Sarkisowem, pozostającą w jego dyspozycji dokumenty, a także na to, że Sarkisow: „Nigdy jednak nie wspominał o kontaktach z „Muszkietierami”, czy też z organizacją ZAP”. Otóż wspominał! We własnoręcznie sporządzonej przed 20 laty notatce, zatytułowanej „Krótki zarys organizacji i akcji oddziału „Szarugi”, A. Sarkisow pisze: „W 1939 r. drugiego dnia mobilizacji zostałem powołany do swego macierzystego pułku w Białej Podlaskiej (34 pp), jako oficer rezerwy. Po rozbięciu i zepchnięciu oddziałów polskich pod Rawą Ruską, gdzie zostałem ranny, przedostałem się do Warszawy, stąd do Chełma Lubelskiego, gdzie zimą 1940 roku rozpocząłem organizację ZAP (podkr. I. C.). Na znajomym mi terenie w Chełmie i okolicy (Serebryszcze, Zawadowka, Rejowiec, Hańsk) zorganizowałem szereg placówek. Spośród dowódców owych placówek pamiętam chor. Zgorzelskiego z 2 pac. Marcinkowskiego, braci Zimmerów Bolesława i Witolda, Piątkowskiego, Nowelskiego Czesława, Szczęsnego Terpilowskiego, Pawła Durkę, Honorowego Aleksandra, Ceglowskiego, Pilarskiego i innych. Po pierwszych aresztowaniach w Chełmie zmuszony byłem opuścić teren”. Tyle sam Sarkisow. Relacja ta znajduje się w zbiorach rękopisów w Bibliotece im. H. Łopacińskiego w Lublinie (sygn. 2196, k. 693).

Jak w tym kontekście wierzyć „maszynokopii zaświadczenia”, iż — jak pisze p. E. Bury — A. Sarkisow był „komendantem lubelskiego Okręgu ZPN nr IV”, po prostu nie wiem. Wyznam przy tym, że zajmując się od wielu lat m.in. początkami konspiracji, z organizacją o nazwie „Związek Polski Niepodległej” w Lubelskiem spotykałem się od razu pierwszy.

Nasuwa się jednak pytanie zasadnicze, dlaczego w relacjach sprzed 20 lat A. Sarkisow nie wspominał nic o swoich związkach z ZPN i o wysokiej w niej funkcji? Mam nadzieję, że w tej sprawie zabierze głos osobiście. Zna on bowiem mój artykuł i zawarte w nim fakty. Do tego czasu pozostaje w przekonaniu o prawdziwości jego relacji sprzed 20 lat, i to nie tylko ze względu na „świeższą pamięć”, ale przede wszystkim z uwagi na fakt, że przynależność A. Sarkisowa do „Muszkietierów” oraz „ZAP” (co nie wyklucza jego innych związków organizacyjnych) została uwierzytelniona przekazami relacyjnymi m.in. b. komendanta obwodu SZP-ZWZ Chełm J. Rolińskiego „Andrzeja”, b. komendanta ZWZ i AK oraz kierownika „Muszkietierów” na powiat chełmski W. Piątkowskiego „Singla”, jednego z założycieli i kierowników organizacji ZAP W. Rokickiego „Nerwy” i innych.

Oprócz sporu z artykułem o ZAP są w liście sprawy, z którymi — określając to najdelikatniej — trudno się zgodzić. Należą do nich m.in.: pisanie o „zależku oddziału partyzanckiego” w odniesieniu do początków 1940 r., ustalanie genezy oddziału „Szarugi” na lata 1940—1941 a także związanie z osobą A. Sarkisowa początków oddziałów „Rysia” „Nerwy” i „Spartanina”. Sadzę że w tej sprawie zabiorą głos żyjący byli żołnierze tych oddziałów. Aleksander Sarkisow zapisał podczas okupacji i po wyzwoleniu świetną kartę w historii, czy trzeba ją poprawiać?

Ireneusz Caban

Listy do „Kamena”

„Jak szczerze to szczerze”

Matylda Welna z Lublina ma już w swoim dorobku literackim pięć tomów prozy i 1 Ostatnio (1985) wydany został przez Wydawnictwo Lubelskie trzeci tomik poezji pt. „Zagłew kulista”. W liście do poetki, a którą się przyjaźnie korespondencjalnie nawiązałam, co myśla o tej ostatnim tomiku.

Jeższe nie mogę się ucołać spasi uroku „Dzielnika Cierpienia” który przeczytałam z uśmiechem dźwiękotnie

więc nowy już tomik „Zagłew kulista”, czytam jakby z wielkim opramą i szczególnie wiersze okupacyjne i partyzanckie. To nie mój temat, nie mam serca (choć sam „Zagłewem” i podziwiam), bo nie lubię wojny, wojowania, i choć wiem że nasze „partyzanckie” były czymś wysoka patriotycznym potrzebny i honorowym to jednak nie mogę obronić się od myśli że dla niektórych chłopaków z lasu była to jednocześnie wielka przygoda i uroda życia — jeśli tak to można nazwać. Za nimi często opłak rozpacza, niezdecydowanie, zabijanie tych którzy zostali w swoich wsiach domach które opuścili partyzanci. Czy zawsze to było potrzebne, aby Polaka był? Tak sobie myślę obojętnie i osobiście ale gdy zaczęłam czytać raz drugi, znalazłam w wierszach M. Welny poezje cierpienia i samotnego strasznego czasu która do mnie przemówiła i poruszyła mnie. Wyrzuciłam wśród „Innych” „Sparte wizer” gdzie rzuca echa i wołania między wierszami które chłopotem i wrzawieniem i cieniem. Polska nie jest łagodniejsza ani towarzyska ani miłobonna, i tożsama wrażliwością. Chęć wiesz płacić? To wiersze „Zagłew kulista” mają i tożsamość Polskę. Tak bym to ujął po dyktando i nastrój.

Gdy pierwsze opory miały, zaczęłam czytać, wosylwować się w „Zagłew kulista”, rozplamniając się i smukając. Te wiersze podobają mi się. Niezwykle wyszukane asonanse, gdzieś tam rym wielka prostota słowa, inność wyraża formy, zanotowałam sobie niektóre: „W Museum Cielowika”, „Kiedy tańczyły wlewoce”, „Samobójcy”, „Zaczyn”, „Ogród planety”, i... Jej wiersze są przede wszystkim, głosz polski zachwyca się w nich autor. Fenomenem życia, urokiem miasteczka, gdzie czas się zatrzymał, błęknem przyrody okolic nadwilezańskich.

Jak się dowiedzieć „Zagłew kulista” trafiła na Światowy Kongres Intelektualistów w Warszawie gdzie miała być rozdana wśród uczestników a jeden z wierszy zaręczony był...

Aleksander Zaczynski Zakopane

Nie nam nie wiadomo o „benefisie” Matyldy Welny na Światowym Kongresie Intelektualistów, ale wszystko jest możliwe.

(Red.)

Dr Stanley Biber poprawia naturę



Dr Stanley Biber w otoczeniu swoich pacjentek, które przedtem biologicznie były męzczyznami...
Repr. Arkadiusz Karon

One były męzczyznami...

JUZ ponad tysiąc trzysta razy dr Stanley Biber poprawił naturę. Policjanci stali się policjantkami, a bracia siostrami. „Niektóre moje dziewczyny — stwierdza z dumą — tańczą w pierwszych szeregach”. Nawet na scenach w Las Vegas!

Dr Biber jest chirurgiem w szpitalu Mount San Rafael w miasteczku Trinidad, leżącym na południu stanu Colorado. Miasteczko ma dziesięć tysięcy mieszkańców, ale z uwagi na dr. Bibera stało się już sławne nie tylko w USA. Zmiana płci kosztuje słono, ale amatorów nie brakuje. Dr Biber nie mówi zresztą „zmiana płci”, ale „dopasowanie płci”. Według jego opinii, jedynie dopasowanie ciała męczyzny do psychiki kobiecej.

Maria Biel, dziennikarka, i Volker Hinz, fotoreporter, zatrudnieni w zachodniemieckim tygodniku „Stern”, udali się do Trynidadu, by na miejscu zobaczyć, jak to wszystko wygląda.

Kiedy przybyli z wizytą, na liście osób zakwalifikowanych przez dr. Bibera do operacji znajdowały się trzy nazwiska. Na pierwszym miejscu znalazła się pacjentka, a właściwie jeszcze pacjent

— Roy Rogers. Ma on 32 lata, ale wygląda jak kobieta i jak kobieta się zachowuje: mówi o sobie nie Roy, ale Joyce Glowe mu zdoła jasno-brązowe loki w stylu „afro” paznokcie u rąk są polakierowane w kolorze perłowoczerwonym. Roy już od dzieciństwa „wiedział” że jest kobietą w fałszywym ciele... męczyzny. Z czasem zaczął ubierać się w damskie stroje, stosować żeńskie hormony powiększające piersi i likwidujące zarost. „Już od dawna czekam na operację” — oświadczył przedstawicielom „Sterna”.

Operacja trwa dwie i pół godziny. Dr. Biberowi towarzyszą przy niej trzy osoby: asystent, anestezjolog i pielęgniarka. Taka ekipa jest ponoć najzupełniej wystarczająca.

Płacić trzeba jednak z góry: 6400 dolarów. Nieco ponad połowę tej sumy otrzymuje dr Biber, resztę bierze szpital tytułem opłaty za miejsce oraz opiekę. Czy dr Biber dzieli się pieniędzmi z osobami towarzyszącymi czy też otrzymują one honorarium od kierownictwa szpitala, tego dziennikarka „Sterna” bliżej nie wyjaśnia. Podkreśla jednak, że Roy (a może już Joyce) zgodził(a) się jeszcze dopłacić 1800 dolarów za powiększenie ma-

ło rozwiniętych piersi. Dr Biber wydrążył w tkance tłuszczowej...
Kolejną pacjentką...
powioki 300...
sie jak bałon...
usunął całkowicie powietrze...
zasięgi mały...
Następnego dnia operowano kolejnego pacjenta.

Patrzac na niego nikt...
władza z nim...
Piękny Azjata...
nie spostrzegł...
biologicznym jest męczyzna.

— Jak ci się to udało osiągnąć w łóżku? — spytała reporterka „Sterna”.

— Powiedziałam...
za miłą by...
Wytuma...
Wiesz, że chce mieć dzieci...
W Trinidadzie jest taki lekarz...
nie będzie mogła urodzić dziecka!

— To nie — oświadcza — Gdy wrócę do domu, powiem mu...
Dr Biber niewiele może powiedzieć o...
zakłócenia osobowości...
oaresis mianem...
zaburzeń hormonalnych...
zaburzeń genetycznych...
Niemniej...
doprowadza ich do chirurga...
którzy są na nią zdecydowani...
Dr Biber długo rozmawia...
stawiając im warunek...
przebyć...
się w roli kobiety...
Później...
świadczające...
Większość...
— stwierdza chirurg —
A co mówią po latach...
Marsha Bozer...
Bibera zorganizowała...
operacja nie rozwiązuje...
Dr Biber po przeprowadzeniu...
— Dopóki...
psychicznych...
Czy są opozycjoniści?...
Novojorski...
chirurgia...
Jego zdaniem...
zaprześć...
niegdyś...
nie wstępuje...
jednak...
logami...
Za operacjami...
dyrektor...
Don Caughron...
ciągu roku...
Ten...
Oprac. J. M.

Archiwum mistrzów anegdoty

Rivaro miał przyjaciółkę miłą, ale też i głupią. Pewnego dnia zachorowała i zaczęła się mocno niepokoić o to, jaki los ją czeka na drugim świecie.
— Nie bój się, mała! — uspokajał ją sartryk. — Dam ci list polecający do... pokojówki Moliera.

Mark Twain, znajdując się w pewnym towarzystwie, w którym rozmawiano o somnambulizmie, czyli o chorobie polegającej na chodzeniu w czasie snu, stwierdził:
— Znam wyśmienity i niezawodny środek przeciw lunatyzmowi.

— Proszę o ten środek — odezwał się na to jeden z obecnych — gdyż niejednokrotnie popadam w taki stan.

Twain wziął do ręki kawałek papieru i napisał na nim kilka słów, po czym rzekł:

— Może pan to otrzymać w każdym sklepie z talazem?

— Z talazem?

— Tak! Proszę przeczytać receptę — rzekł humorysta.

Na papierze, wśród ogólnego zaciekawienia, odczytano następujące słowa:
„Rp Pudełko pinetek Codziennie wieczór przed udaniem się na spoczynek rozsypano trzy łyżki stolowe dookoła łóżka”.

Wells miał w początkach swojej kariery ciężkie życie. Zakończył on swego czasu wraz z przyjaciółmi Henleym tygodnik „The New Review”, ale prenumeratorem wszystkich bardzo nielicznych.

Pewnego dnia zobaczył przez okno redakcji pogrzeb. Wells nachylił się ku Henleymowi i powiedział z troską:
— Oby to nie był pogrzeb jednego z naszych prenumeratorów...

Wysperat:
Ryszard Dunin

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horzbił, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzeka sobie prawo skróć w swych literackich orytmie interesantów kierownik działu w ostatek w codz. 14-15

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 1

Wydawca: Robotnicze Spółdzielstwo Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jaxus 8, tel. 258-33.

Adres redakcji: 20-028 Lublin ul. Skłodowskiej 11

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 258-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 278-93.

Korespondencje prosimy kierować pod adresem: 20-900 Lublin skrytka pocztowa 231, pocztowe i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 021. 1986-93-04-P.4.

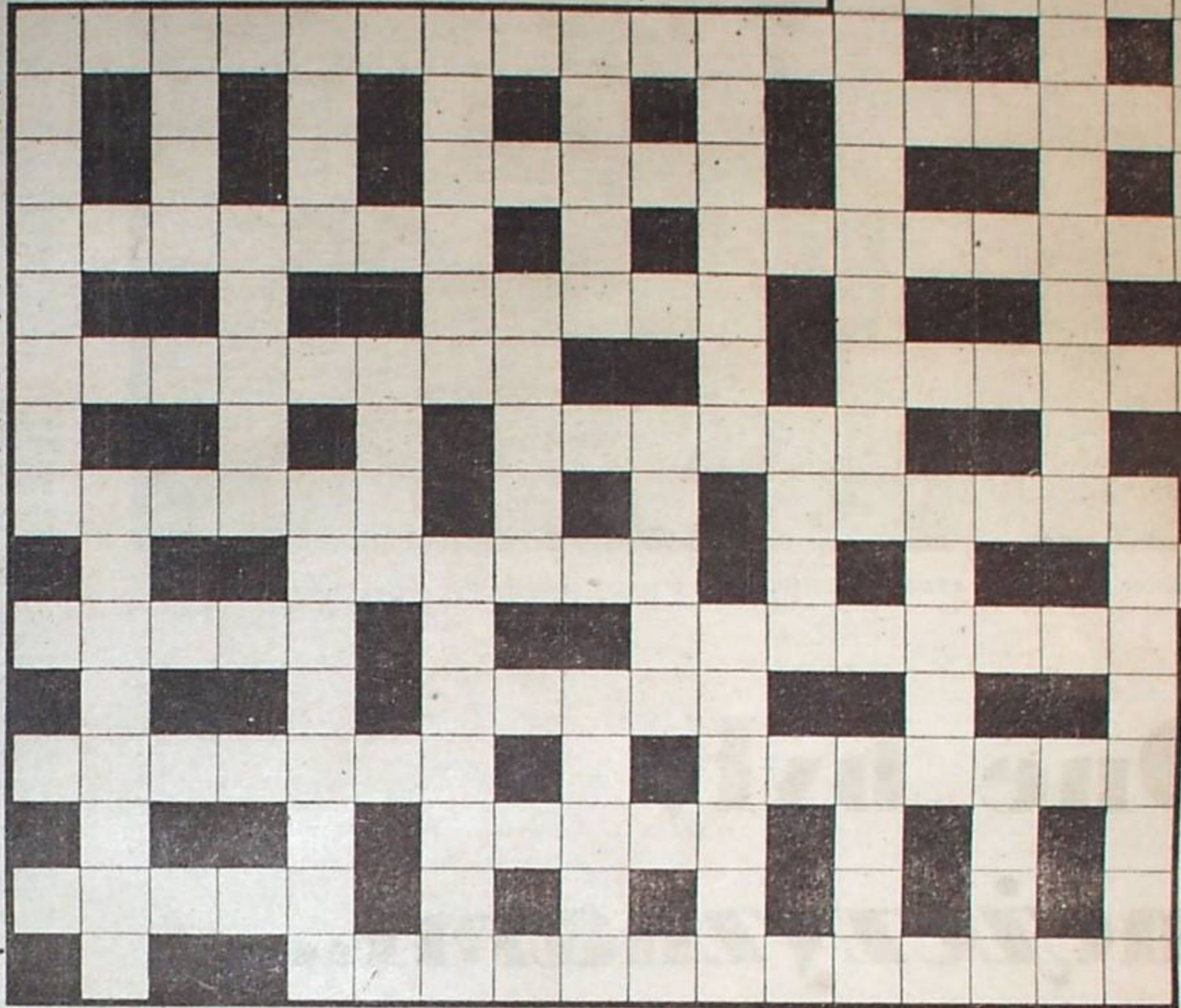
Poziomo: A. warstwa psychiki, w której tkwią treści wyparte. B. np. gordyjski, C. kawaleria, D. mocny napar, E. wytwarza ciepło w elektrowni atomowej, F. zabobonne praktyki, G. czerwonoskórzy, H. żalobne wiersze Kochanowskiego, I. prowizoryczna ściana, J. odgłos lamanych gałązek, K. tanie niesłychanie, L. wózek z jednym kółkiem, M. miasto w Baskonii, N. dramat Szekspira, O. stan niezwykłego uniesienia, P. wiosenne święta, Q. do czyszczenia szczotki a nie konia, R. kielich puchar, S. klótnia, T. pomieszczenie na towary na statku, U. atomy o jednakowej liczbie protonów, ale różnej neutronów, V. gramofon do wrzucania pieniędzy, W. żywice naturalne wydobywane z ziemi, X. pn. Sudan i pld. Egipt w starożytności, Y. wieloletnia roślina, Z. zmywacz do paznokci, AA. rzeka Socza w jej wioskowej części, AB. niewłaściwość władzy czy sądu, AC. świąteczny nabiał, AD. instrument prowadzący w orkiestrach, AE. grupa wysp na Pacyfiku, którą w rebusie można by oznaczyć A. S. biegly, AF. dziesięciokąt, AG. 1/4 beczki, AH. nóż do korowania, AI. zdolność komórek i tkanek do przystosowania się do zmienionego środowiska.

Pionowo: 1. tłumaczenie, 2. uniwersalność, 3. grecki ojciec bogów, 4. on i je dwie, lub ona i ich dwóch, 5. więzy, 6. serdecznie o obecnej porze roku 6 część świątyni starogreckiej mieszcząca posąg bóstwa, 7. uczniowie Zenona z Elei, 8. ochrona osobista, 9. np. franciszkanów lub kapucynów, 10. przejście przez jezdnją, 11. wielogłosowa pieśń średniowieczna, 12. roślina na kaszę, 13. cel ostateczny w budownictwie, 14. korpus, 15. na wieniec zwycięzcy lub zwyciężcy, 16. człowiek przeniesiony z jednego w drugie miejsce, 17. monarcha, 18. nauka o moralności, 19. Noce i ..., 20. margrabia Marchii Wschodniej walczącej z Mieszkiem I, 21. łatwowierność połączona z brakiem rozsądku, 22. masowe zgromadzenie ludności, 23. wydatność kur, 24. firmament, 25. rasiści nazywają ich Żółtkami, 26. dobry spełnia harcerz, 27. czechosłowacki ciągnik, 28. leca na północach, 29. zbiór ilustracji, 30. kongres, 31. gliniany instrument muzyczny, 32. samochodowe boksy, 33. polska ciężarówka, 34. pół połówki, 35. niezbędne dla wyciążenia wniosków, 36. wody płynące, 37. powstaje z kwiatu, 38. uzupełnia muszkę, 39. nienormalność.

Krzyżówka świąteczna z szyfrem



G
H
I
J
K
L
M
N
O
P
R
S
T
U
W



1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17

18 19 20 21



Szyfr

A22. I10. D14. L4. O21 / G5. D28. S7. E22. N3. F20. W11. N25. M11 / O28. N4. G24. I5 / H14. D24. W13. I26. S15. G28. N12 / M19. L24 / T9. P5 / I9. L19. S3. H11. H5 / I19. P10. N15. N2. J25. F27. D17 / O7. H13 / B25. P14. E13. F25. B26. O22. P11. U11 / L13 / L16. G8. N5. A19. W2 / A13. G2. K8. F29 / P16. S17. O10. J19. M22. S5 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 4 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Bo są rzeczy, które się całkiem do końca nie mogą zdarzyć. Są za wielkie, a żeby się zmieścić w zdarzeniu, i za wspaniałe. Próbuja one tylko się

zdarzyć, próbują gruntu rzeczywistości, czy je uniesie.

**Bruno Schulz
SANATORIUM
POD KLEPSYDRA**

Nagrodę wylosowała Helena Piecuch, 96-022 Jasionka 77.

Rozmaitości wielkanocne

Z bębnem, gaikiem i konopielką

OTO Janowiec nad Wisłą Srebrną się brzegiem wierzbowej bazy. Ruszyły wiosenne wody. Naczelnik Kosciuszko na zamkowej wieży wystrzelił jakby swoją szablę. Trzyma ją dumnie, tnąc marcowe niebo. Słychać dudnienie bębna. Słychać odziesiąt i porożych łoskotów wzgórza „Idą, tuż idą” – rozniósł się po uliczkach i obejściach wieść, że do samej Wisły i wzdłuż jej brzegów i od lat wiadomo, że ani jedno domostwo pominięte nie zostanie. Do wszystkich dotrą wielkanocni heroldowie. Taki tu zwyczaj.

Bo oto w Janowcu przychodzi Wielka Sobota. I w przedwiozornej ciszy, kiedy w powietrzu intensywnie zapachem dobrze wypieczonych bab i mazurków, a dzwony szukają się by wiatrem zagrzmieć „Alletuja” odzywa się bęben – wtelki miedziany obciążony skórą kocioł wojenny. Zabytkowy. XVII-wieczny, na którym od dawien dawna wybijano wtelkosobotnie taktury. Kto pierwszy i kiedy w kocioł ten uderzył – nie wiadomo, ale zwyczaj trwał do dzisiaj. Biora w nim udział i dorośli i młodzież, ciekąco się w tej osobliwej sztuce na kilka dni wczesniej. Bo nie takie to proste być i całej sily w kocioł – trzy mając rytm i tasoni. Według wiele latowatej heroldowie z tym starym lut bębnem od domu do domu i bębnią całą noc aż do rezurekcyj i chor to wprawdzie jeszcze post, lecz sily ich pokrepla tytulim, nocestunek „obebnionych” gospodarzy. Kiedy dla lepszego rezonansu obcia-

gano bęben psią skórą, często ją dziurawiać, by mieć powód do zbierania datków na nową. Dziś bęben w całości wraca na miejsce swego przechowywania w kościelnej wieży i oby jak najdłużej służył tej oryginalnej, świątecznej tradycji. Nigdzie w kraju poza Janowcem nie spotykane!

Echem już tylko i wspomnieniem pozostało na lubelskiej wsi niedawne chodzenie z gaikiem – zwiastunem wiosny. Brały dziewczęta sosnowe gałązki lub małą chołnozączką, pięknie je stroily i, nie bacząc na tyngusowe niespodzianki, odwiedzaly dom po domu, cieszac się nie tylko swą mlodoscia i urodą, ale i piosenką „My z gaikiem wstepujemy, szczescia zdrowia wam życzymy” – spiewaly na co otwieraly się każde drzwi „A dajcie nam, dajcie jajkosc, twadzescia pięć, zeby wam do córki trafil dobru zięć” – i nikt nie pozostawal głuchy na tę przymocną Pisanke, zawczasu czekaly przygotowane na tę okolicznosc „A dajcie nam masla kawatek niemaly, zeby wasze krowki mleko dawaly”. Gaiku zielony nieknie wystrojony... Zwyczaj ten przenikal na Lubelszczyzine z poludniowych dzial i centralnych regionow kraju, by stad się tutaj niegdys bardzo popularnym.

Na bialostockim Podlasiu chodzono z konopielką. Bodajże po raz pierwszy zanotowal to niestrudzony Zygmunt Gloger w ubieglym jeszcze wlotku w swoich „Pieśniach ludu”. Konopielka owa pieśń podlaska spiewana podczas Wielkanocnych obchodow skladala się – bagatela – z 40 krótkich co prawda, lecz roznorodnych w treści wierszy. Coś jakby ballada Uioagó sluchajacych skupialy następujace watki: o panow i wlotu wlotka, o porwaniu wlotka przez Dunaj i wylowieniu przez rybakow oraz dopraszanie się o swiateczny nocestunek.

Chodzenie z konopielką nalezalo wyłacznie do kawalerow, którzy swoje popisy, przy akompaniamencie skrzypiec, harmonii lub tylko organkow zaczynali wieczorem w Wielka Niedziele. Podchodzili pod okna domow o wydatnych wladomym bylo i mieszkal tam pannu na wydaniu i po swobodnej interakcji i tytulach dla gospodarzy dedykowali pannom odpowiednie warlani konopielki. Czasem adresatami tych zieretek byli mlodzi gospodarze lub wstepowcy po kole sasiadzi.

Konopielki spiewano i w polskim, i bialoruskim jezuku, i po „prostemu” czyli w miejscowej gwiazie. Ten swiateczny zwyczaj wspólny byl i dla katolikow i prawoslawnych z silnym nawiązaniem do Lidę Grodna i Wilna.

W naorode za dopisy gospodarze obdarzali spiewakow tak zwany „wotokacami” czyli pisanekami, niekiedy jak podlaskie kilmu, wredlino, kolaczami, czyz moce najluzszym w bialestoczce. W druzal dzieł, trival zbiegala się mlodzi na wspólnej zabawie, dzieląc się zebrany „wotokacem”.

Wiele osobliwych zwyczajow swiatecznych przemignelo z czasem. Wspominaja je tylko najstarsi, notujac skrzynke etnografowe. Ale kolekcja wielkanocnych pisanek pyszni się jeszcze na przedswiatecznych kiermaszach i wsiem już, że te wydmuszki z kolorowymi wycinankami – tu wlotkie; a te zdobione wlotka i miazga z stowia – tu kurpiowskie; a te w kurze łapki, wiatraczki, baranki kaguciki – to krzeczonowskie; a te „skrobane” w telikatny, jak mgielka, jak tful i szron kwiaty – to psianki zamajskie...

To był stół!

...W zupełnie innym stylu. Otóż – według pewnego poznanskiego kalendarza – wojewoda Sapieha na taką oto „swiateczkę” w Dereczynie sprosil był ucznych, a moźnych panow z Litwy i Korony:

„Na samym srodku byl baranek wyobrazajacy Agnusa Dei z chorągiewką calutki z pistakami, ten specyal dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i zuchownym Stalo i przegromnym dzikow, to jest tyle ile części roku. Każdy dzik miał w sobie wiewprzownię, alias: szynki, kiełbasy, prosiątko, kuchmistrz najuczowniejszą pokazal sztuke, ze upieczoniu tych odynow. Stalo tandem 11 jeleni, takze calkowicie pieczonych ze zlozistymi rogami, zale do zamierowania; nadziane byly rozmalita zwierzyna alias: zającami, ciętrzeciami, droplami, pardwami. Te jelenie wyrazaly 11 miesiecy. Naokolo byly ciasta sasinie, tyle ile tygodni w roku, to jest 52, cale cudne placki mazury, zmuszkie pirogi i wstepytko wysadzane bakalią. Za niemi bylo 361 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każde bylo adorowane inskrypcjami florasami, aż niefeden tylko czatal a nie jadł. Co zaś do bibendy: bylo i buchary, rezerplum i por roku) na-pelnione winem, jeszcze od króla Stefana Tandem 11 kopetek srebrnych i winem od króla Zygmuntia; te kopetki srebrnych 11 miesiecy Tandem 52 parylek takze srebrnych i wiatlam 52 tygodni; bylo w nich wino euyrujskie hiszpańskie i wlotkie Dale 363 gaworkow i winem wealerskim alias: tyle gaworkow, ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 566 kwiaz mlodu robionego w Berezie, to jest tyle ile godzin w roku”.

...I wszystko to bez znajomosci, kartek i kolejek. Ale kto na to żarcie pracowal?

(dey)